

KRAJ

WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI POLSKIEJ
w Petersburgu,
ul. Jekateryńska Nr. 2.

- Darowski Ad. Szkice historyczne. Serja I, rs. 1 k. 80.
- Ihering v. R., dr. Walka o prawo. Z dziesiątego wydania oryginału przełożył Bohdan K., k. 60.
- Janžutt. Przemysł fabryczny w Król. polskiem, k. 75.
- Kaczkowski Z. Kobieta w Polsce. Studium historyczno-obyczajowe, z przedmową i uwagami P. Chmielowskiego, 2 tomy rs. 3, w oprawie ozd. rs. 4 k. 80.
- Kallay o Andrassym, k. 80.
- Kariejew M. Najn. zwrot w historjografji polskiej, k. 30.
- Killand Aleksander Mały Marjusz, k. 40.
- Kosiakiewicz W. Bawelna, powieść, rs. 1.
- Kipling Rudyard. Nowele, k. 25.
- Lisicki Napoleon III i Włochy, k. 80.
- Mahrburg Ad. Genjusz i obłąkanie. Uwagi nad dziełem C. Lombroso, k. 10.
- Psychologia współczesna i stanowisko jej w systemie wiedzy, k. 40.
- Maly J. Odrodzenie Czech, k. 25.
- Mikulicz W. Mimi, szkic pow., k. 45.
- Mycielski Maurycy. W ich ślady, szkic powieściowy, k. 80.
- Ochorowicz J. Odczyty, o magnetyzmie i hypnotyzmie rs. 1.
- Orzeszkowa E. Dwa bieguny, powieść, wydanie drugie, rs. 1 k. 50.
- Ostoja. Królowa, k. 40.
- Szkice i obrazki, rs. 1.
- Paulhan F. Fizjologia ducha, k. 60.
- Prus Bolesła. Omyłka, powieść, k. 75.
- Prusy i polacy, k. 20.
- Przepisy o najmie robotników wiejskich, k. 50.
- Spasowicz W. Najn. prądy w nauce prawa karnego, k. 40.
- Pisma, w 6 tomach, rs. 9.
- Schiller i Goethe k. 50.
- Straszewicz L. Nasze czasy, opowieść, k. 40.
- Thierry A. Spiskowcy, powieść, k. 60.
- Ychórznicki J., dr. Obrazki wiejskie, k. 80.
- Ustawa o urzędzeniu gruntowem wiejskich czynszowników wieczystych w guberniach zachodnich i białoruskich, rs. 1.
- Weismann A., dr., prof. Myśli o muzyce u zwierząt i człowieka. Muzyka w świetle poglądów Weismanna, zamiast przedmowy napisał A. Mahrburg, k. 60.
- Zbiór ustaw leśnych, zawierający nowe prawo o zabezpieczeniu lasów, rs. 1.

PETERSBURG, DNIA 30 września 1894 ROKU.
12 paździer.



J. BECKER

przy moście Kazańskim, dom № 18/27
w Petersburgu.

Fortepiany od rs. 600 do 1,500, pianina od rs. 450 do 550. (2199)



Pierwsze w Ces. i Król. składy fortepian. i melodykonów

HERMAN i GROSSMAN.

WARSZAWA: Mazowiecka 16. LUBLIN: Królewska 207. PETERSBURG: W. Morska 33. MOSKWA: Kuzniecki most. (2495-34)

Sprzedż (na raty). Wynajem.

Żądać bezpłatnie ilustr. katalogi (cenniki) w jęz. polskim lub ruskim.

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA.

MARJAN GAWALEWICZ

„Królowa niebios”,

legendy o Matce Boskiej.

Wydanie wytworne na pięknym welinie. Ozdobione 12 heljograwurami oraz drzeworytami, podług obrazów

PIOTRA STACHIEWICZA.

Zeszyty IV, V i VI (ostatni) opuściły prasę.

Cena obecnie rs. 8, z przes. rs. 8 k. 50. (2521-3-1)

Księgarnia przyjmuje zamówienia na
ozdobną okładkę

w cenie rs. 1 k. 35, z przesyłką rs. 1 k. 70, oraz na egzemplarze w ozdobnej oprawie ze złoceniami rs. 8, z przesyłką rs. 8 k. 60.

Wydanie zbytkowne (edition de luxe), ukaże się w ciągu miesiąca. Cena rs. 10, z przesyłką rs. 11, w oprawie ozdobnej rs. 13, z przesyłką rs. 14. Okładka oddzielnie rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 50.

ZNACZNE TRANSPORTY

Cygar Hawańskich

w wielkim wyborze otrzymali i polecają

KALINOWSKI i PRZEPIORKOWSKI
w Warszawie, hotel Europejski. (618-6-3)

Skład maszyn rolniczych i nasion

ALFRED GRODEKI

w Warszawie, ulica Senatorska № 33. (401)

FABRYKA I SKŁAD MYDEŁ TOALET., PERFUM I KOSMETYKÓW

FRYDERYK PULS,

Warszawa, Plac Teatralny № 11. (532)

SKŁAD MASZYN, NARZĘDZI ROLNICZYCH I NASION

TAD. KOWALSKI i A. TRYLSKI
Warszawa, Miodowa 4. (402)

PIERWSZORZĘDNE KAUCJONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE
w Warszawie, Niecala № 12, parter. **F. SIKORSKIEJ** w Warszawie, Niecala № 12, parter.
Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, ma do umieszczenia Nauczycieli, Nauczycielki i Bony. (549-26)

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
Mazowiecka 16 w Warszawie. **ZAŁĘSKI** Mazowiecka 16 w Warszawie.
pośredniczy w umieszczaniu nauczycieli, nauczycielek i bon różnej narodowości i takowe na żądanie sprowadza z zagranicy. (536)

KAUCJONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE I PRACY KOBIET
ST. ŁUCZYŃSKIEJ,
w Warszawie, Świętokrzyska 17, m. 4, pod bezpośrednim zarządem
PANI CLAVEL, (281)
ma do umieszczenia nauczycieli, nauczycielki i bony wszelkich narodowości.

SKŁAD WIN
P. A. KRZYMIŃSKIEGO,
egzystuje od 1829 r.
Warszawa, Wierzbowa № 3. (617)

Upraszamy szan. czytelników, aby zamawiając lub kupując przedmioty reklamowane w «Kraju», lub wogóle korzystając z działu ogłoszeniowego, raczyli powoływać się na «Kraj», jako na źródło, skąd informacje swoje zaczerpnęli. Takie powoływanie się wpływa bowiem na rozszerzenie ogłoszeń «Kraju».

B. HOZAKOWSKI, TORUŃ.
DOM KOMISOWY
NA NASIONA I ZBOŻE.
(2477-5-4)

Zakłady gazowe

W WARSZAWIE

polecają:

Koks czwartw' po 1 rs.,
za pud 18 k., przy odbiorze
w większych ilościach odpowiadni rabat. (408)

Marszałkowska 151.
MAGAZYN DZIECINNY „JANINY”.

Dla dzieci: Sukienki, Palta, Ubranka. Dla dzieci: Bielizna, Wyprawki, Fartuszki. Dla dzieci: Specjalnie mocne pończoski. Dla dzieci: Chroniące od zaziębienia trykotaże. Dla dzieci: Czapki i Kapelusze. Słowem, wszelkie artykuły dzieciinne. (279)

S. HISPANSKI,

szewc meżki i damski
w Warszawie, Bielańska 6.
Egzystuje od 1838 r. (400)

PIERWSZA I NAJOB SZERNIEJSZA
w połud.-zachodnim kraju

FABRYKA

fortepianów, pianin i fisharmonij

A. STROBU

w Kijowie, ul. Żyłańska, dom własny,
№ 25. Filja w Odesie, róg Ryszelskiej i Polickiej. Szczegół. cenniki wysył. się bezpłatnie. (2145-50)

WARSZAWSKI MAGAZYN
OBUWIA
W. ZAREMBY,
Petersburg, Kazańska 48. (2418)

PRACOWNIA I MAGAZYN
OBUWIA
L. NIEMCZYŃSKIEGO,
Petersburg, M. Italjańska 19.

PETERSBURSKA

Szkoła Muzyczna,
Newski pr., róg W. Morskiej, № 16—7.
Dyrekcja: (2473)
Prof. K. J. Lüttsch, J. Borowka.

KSIĘGARNIA POLSKA

w **PETERSBURGU**,
ulica Jekateryńska № 2.

poleca

NOWOŚCI LITERACKIE:

- Arystoteles. Konstytucja Ateńska. Z greckiego na język polski przełożył J. Wierzbicki, k. 65.
Badowski J. Geometria elementarna, rs. 1 k. 35.
Bak. Kalendarz satyryczno-humoryst. na r. 1895, k. 20.
Coppée Fr. Poezje, k. 25.
Dzidzia. Wesoły kalend. dla dzieci na r. 1895, k. 15.
Facet. Wesoły kalendarzyk na rok 1895, k. 20.
Gawalewicz M. Od jutra, pow. współcz., z papierów famil. spisana, rs. 1 k. 50.
Gawalewicz M. i Stachiewicz P. Królowa Niebios. Legendy ludowe o Matce Boskiej. Zeszyt I, II i III po rs. 1.
Goffine L. ks. Książka do oświec. i zbudowania duszy chrześcijańsko-katolickiej, czyli krótki wykład lekcyj i Ewangellj na wszystkie niedziele i święta, wraz z nauką wjary i obyczajów, jako też życiorysami Święt. Pańskich, rs. 2 k. 50.
Hösiok F. Samotność, krajobrazy i opowiad., rs. 1 k. 50.
Jordan. Pisma, 6 tomów, rs. 6.
Junosza Kł. Monologi, z ilustrac. F. Kostrzewskiego, rs. 1 k. 20.
— Z Warszawy. Nowele. Fałszywa kuropatwa. Mąż do asystencji. Sukcesorowie skąpeca, rs. 1.
Kaczkowski Z. Kobieta w Polsce, Studium historyczno-obyczajowe, z przedmową i uwagami P. Chmielewskiego, 2 tomy, rs. 3, w opraw. ozdob., rs. 4 k. 80.
Kraushar A. Kartki historyczne i literackie, rs. 1 k. 50.
— Zatarg Imci Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. 1742—1756, k. 60.
Kosiakiewicz W. Bawełna, pow. rs. 1.
Lombroso C. Miłość u obłąkanych, k. 50.
Łopuszańska M. Na złotym szlaku. Opow. z ubiegłych wieków, rs. 2 k. 50.
Łoś W., hr. Złociwoje domu Kohn et Comp., powieść współczesna w 2 tomach. Wydanie drugie, rs. 3.
Miezinis Ks. Słownik litewsko-łotewsko-polsko-ruski, rs. 2 k. 50.
Milkuszyk M. Przemysłowcy, powieść, rs. 1 k. 20.
Müller K., dr. Poradnik domowy homeopatyczny, rs. 2.
Pieniążek C. Szare godziny, drobne obr. z życia, z ilustr. W. Rossowskiego. Wydanie drugie, rs. 1 k. 20.
Sirko W. Na kresach lasów, opowiadanie, rs. 1 k. 80.
Strzemeska J. i Weryho. M. Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców, rs. 2.
Szreniawa Rom. Indje wschodnie, rs. 1.
Tetmajer K. Poezje, rs. 1 k. 20.
Theodorowicz R. Przez barwną szkiełka, szkice i obrazki, rs. 1 k. 80.
Weryho M. Co się z czego robi i z kąd pochodzi. Zbiór prakt. wsk. dla wych. i naucz. począt., k. 45.
Woltschenk S. System. kurs kalliografji i szybkiego pisanja, w 3 zeszytach, rs. 1.
Wołowski M. Koniec wieku, powieść wsp., rs. 1 k. 50.
Zapolska G. Przedpiekle, pow., 2 tomy, rs. 2.

Ostatnie nowości oznaczone znakiem

W pewnej kartografji. — Powiedz mi pan, jesteś pesymista, czy optymistą?
— To zależy od tego, jak mi karta idzie.
(Kur. Święt.).

AGENCE INTERNATIONALE M-me DE ASIKORSKA, Kraków, Hotel Saski, ma do umieszcz. kilka zdoln. nauczyc. polek i francuzek, z wysokiem wykształceniem i muzyką. (2488-3-3)

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie:

- Od jutra.** Powieść współczesna, z papierów familijnych spisana przez **Marjana Gawalewicza**. Cena rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 1 k. 75.
Pisma Jordana. (Juljana Wieniawskiego). 6 tomów, rs. 6, z przes. rs. 6 k. 50, tomy pojedyncze po rs. 1 k. 20. **TRESĆ:** T. I. Wędrowki delegata. — Szkice humorystyczno-obyczajowe. Tom II. Przygody panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie. T. III. Listy Jordana do pana Jana. T. IV. Z boru i dworu. Szkice i obrazki I. Pojedynek amerykański. — Buchalterja podwójna. — Bakalarka. — Zemsta pana Fabjana. — Układ o służebności. T. V. Z boru i dworu. Szkice i obrazki II. Charciarz. — Referencja. — Komedja z podróży. — Na stanowisku. — Wyprawa po pożyczkę. T. VI. Ze wspomnień Marymonckich. — Komedje jednoaktowe: Partja winta. — Wśród lasu. — Polowanko.
Siostry. Powieść **Zofji Kowerskiej**. Cena rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 1 k. 70.
Emancypantki. Powieść w 4 t. **Bolesława Prusa** (Aleks. Głowackiego). Cena rs. 5, z przes. rs. 5 k. 40.
Apologja naukowa wiary chrześcijańskiej przez kanonika **Duilché de Saint-Projet**. Przekład z 3-go wydania francuzkiego, poprzedzony słowem wstępem **J. E. ks. Michała Nowodworskiego**, biskupa płockiego. Cena rs. 1 k. 80, z przesyłką rs. 2.
Chryścjanizm i czasy obecne. I. Wiara i niewiara. Tłómaczenie z francuzkiego, wydane staraniem księdza **P. Skolimowskiego**, rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 1 k. 75.
Władek. Powieść **Wincentego Kosiakiewicza**. Cena rs. 1, z przesyłką rs. 1 k. 15.
Mechesy. Część II, powieść **Marjana Gawalewicza**, rs. 2, z przesyłką rs. 1 k. 30.
Po Europie. Kartki z podróży **Edmunda Jankowskiego**, rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 20.
Z dogmatem. Powieść **M. Wołowskiego**, rs. 1 k. 20, z przesyłką rs. 1 k. 35.
Dzieje małżeństwa. (Losy Fenelli). Powieść przez 24 autorów, przekł. z ang., k. 60, z przesyłką k. 75.
- WYDAWNICTWO POPULARNE.**
Wyszły następujące tomiki:
Wiadomości wstępne z higieny, **Berners J.** tłóm. z ang., 30 k., kartonowane k. 40.
Ekonomia polityczna, **Fawcett**, tłóm. z ang., 30 k., kart. k. 40.
Początki fizjologii, **Forster M.**, tłóm. z ang. dr. **M. Laurysiewicz**, 30 k., kartonowane k. 40.
Geografia fizyczna, **Geike A.**, tłóm. z ang., 30 k., kart. k. 40.
Geologia, **Geike A.**, tłóm. z ang. prof. **K. Jurkiewicza**, wyd. nowe, przejrzone i uzupełnione, 50 k., kartonowane k. 60.
Botanika ogólna, **Gérardin L.**, z franc. przełożył **M. Kosiakiewicz**, 51 drzeworytami w tekście, 40 k., kartonowane k. 50.
Pierwsze początki astronomji, **Lockyer J. Nor-skłodowski**, z 44 drzew. w tekście i ryciną tytułową, 50 k., karton. k. 60.
Mineralogja, **Peters Karol F.**, przeł. z niem. **M. Kozłowski**, z 51 drzeworytami w tekście, 50 k., karton. k. 60.
Chemja, **Roscoe A. H.**, wydanie nowe, przejrzone i uzupełnione, z drzeworytami w tekście, 30 k., kartonowane k. 40.
Arytmetyka w zadaniach. Część II. **Ułamki**, przez **S. Dicksteina**. Wyd. drugie znacznie powiększone. Cena w kartonie 80 k., z przesyłką k. 90.
Poradnik domowy homeopatyczny, **doktora K. Müllera**. Tłómaczył z ostatniego wydania niemieckiego oraz opatrzył wstępem i dopełnieniem **Lucjan Kuczyński**. Rs. 2, z przesyłką, rs. 2 k. 30.
- Zakład dla zбочzeń mowy** (jąkanie, belkotanie, mowa nosowa, niemota i t. d.), oraz cierpień jamy nosogardzielowej, **lek. W. OŁTUSZEWSKIEGO**, obok domu zdrowia, Warszawa, Długa 8, przyjmuje na leczenie chorych przychodnich, oraz na stałe pomieszczenie. (604-12-4)
- ZARZĄD**
Dr. Żel. Nadwiślańskiej.
Na przewóz w pełnych ładunkach wagonów miazgu węglowego, od niektórych stacyj dróg żel. Syzrańsko-Wiaziemskiej i Moskiewsko-Kurskiej do wszystkich stacyj dróg żelaznych ruskich, wprowadzoną została z d. 24 sierpnia (5 września) r. b. nowa taryfa, ogłoszona w N-rze 554 Zbioru taryf dróg żel. ruskich za № 5638 A. (2524)

BALTYCKI BANK KOMISOWY
STEFAN GRABSKI i S-ka,
TOWARZYSTWO KOMANDYTOWE
w **GDAŃSKU, Hundegasse 123.**
SPECJALNOŚĆ:
Eksport cukru wszelk. rodzaju, oraz niższych produktów. Sprzedaż komisowa zboża, nasion i innych ziemioplodów. (632-52)

NOWOUTWORZONY
DOM HANDLOWY
M^{me} WENZEL
Petersburg,
37. Jekateryński kanał obok magazynu Sone. 37.
Poleca w wielkim wyborze
GORSETY,
podług ostatnich modeli paryzkich. (2517-4-1)
Wielki wybór. Staranne wykonanie obstalunków, na żądanie w ciągu 3 godzin.
M^{me} WENZEL
37, Jekateryński kanał № 37.

— Dlaczego się nie żenisz?
— Przeraza mnie myśl o kłopotach rozwodowych. (Gł. Nar.)
Opuścił prasę i jest do nabycia we wszystkich główn. księgarniach
Obrazek historyczny
ALEXANDRA KRAUSHARA
p. t. **ZATARG**
Imci Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem.
1742—1756.
8-a, str. 82. Cena 60 k., z przes. 75 k.
Skład główny w księgarni **GEBETHNERA i WOLFFA** w Warszawie. (630)
Szczyt reklamy księgarskiej. Nakładem firmy księgarskiej X & Y wyszło dzieło mające tak silny popyt, że zanim pierwszy nakład ujrzał światło dzienne, drugi nakład został całkowicie rozkupiony. (Szczutek).

CUKIERNIA WARSZAWSKA,
Jekaterynhofski 6.
Kawa, herbata, czekolada, ciasta, cukry. **OBIADY** (od godz. 1—7), śniadania, kolacje. Abonament taniej. Przyjmuje obstalunki. Otwarta do g. 1 w nocy. (2520-13-1)
Kupno i sprzedaż
ZBOŻA,
NASION PASTEWNYCH,
oraz innych
produktów rolnych.
A. WIERZBOWSKI,
Włodzimierska № 21,
w Warszawie.
Telefon 427.
(629-6-1)

L. KOCH,
magazyn wiedeński ubiorów męzkich,
Miodowa 2.
(600-8-5)

PRZEDPŁATA w Petersburgu. rocz. rs. 10, półrocz. rs. 5, kw. rs. 2 k. 50. Na prow., w Ces. i Król. oras. zagr.: rocz. rs. 12, półrocz. rs. 6, kw. rs. 3, mies. rs. 1. Ogłoszenia k. 30: na str. 1 okładki przed tekstem, na innych po k. 15 od w. Reklamy («Doniesienia» w tekście) po k. 40. Cena pojedyncz. N-ru k. 25. Za dotychczas. ogłoszenia, prospektu i t. d., jednoraz. rs. 30, opr. opłaty poczt. (1/2 k. od 1 kuta każdego egzemp.) i kosztów przesyłki do Petersburga.

REDAKTOR
ERAZM PILTZ.

KRAJ

Pismo polityczne, społeczne, ekonomiczne i literackie

BIURO Redakcji i Administracji «Kraju» (Nikołajewski, 6) otwarte codziennie od g. 11 rano do g. 5 popołud. Redaktor «Kraju» przyjmuje osobliwie interesantów od g. 11 rano do g. 13 w południe. Adres dla telegramów i listów: «Petersburg, Kraj». Kantor miejski w Petersburgu: Jekateryńska, 3. Kantor warszawski: Widok, 7. Pronumeratę i ogłoszenia przyjmują, oprócz tego, wszystkie znaczne księgarnie w Ces., Król. i zagranicą.

WYDAWCA
ERAZM PILTZ.

PETERSBURG, DNIA 30 września 1894 ROKU.
12 paźd.

TREŚĆ 39 N-ru „KRAJU”:

ARTYKUŁ WSTĘPNY: O kwestji socjalnej. p. d-ra Stan. Głabińskiego.
DZIAŁ LITERACKO-SPOŁECZNY: Wycieczka do Budapesztu, p. Grzegorz Smidkiego. Z poematu «Pod Wiedniem», Śpiew dziwiasty, p. Deotyń. Wychowania, powieść, p. Ostaj. Z nad Sekwany, p. Parisa. Florenckie echa. IV, p. Marye Konopnicka. Praca katechizacji (Madame Sans Gêne). Romany z czasów rewolucji i Cesarstwa, p. Edmunda Lepelletiera. Notatki o nowych książkach. Kronika naukowa i literacka.

DZIAŁY BIEŻĄCE: Z TYGODNIA (uwagi Redakcji o sprawach bieżących). PRZEGLĄD PRASY. ECHA ZACHODNIE I ZIEMIE SŁOWIAŃSKIE (listy korespondentów «Kraju»). Z POLITYCZNEGO ŚWIATA I OSTATNIE WIADOMOŚCI. KRONIKA POWSZECHNA. WIAD. BIEŻĄCE. KRON. PETERSBURSKA. KRONIKA WARSZAWSKA I LISTY Z PROWINCJI (od korespondentów «Kraju»). MISCELLANEA. KURJER PRAWNY, SZKOLNY I KOŚCIELNY. KRON. POŚMIERTNA. DONIESIENIA. EKONOMISTA (Przegląd ekon., artykuły, korespondencje i wiad. ekonomiczne). NEKROLOGJA. OGŁOSZENIA.

O KWESTJI SOCJALNEJ.

[Na jubileuszowym posiedzeniu Towarzystwa prawniczego we Lwowie, odbytem niedawno, odczytana i z wielkim uznaniem przyjęta została rzecz prof. Głabińskiego «O kwestji socjalnej». Dzięki uprzejmości sz. autora, mamy możność podzielenia się z czytelnikami «Kraju» tem interesującym i pouczającym studjum].

Współczesną nam dobę dziejową słusznie nazwać możemy epoką *socjalną*. Niejasne bowiem ideały i prądy społeczne, jakie do niedawna jeszcze nurtowały na dnie ruchów politycznych i religijnych, przybierają wszędzie w nowożytnych państwach widomą i coraz wyraźniejszą postać, poczynają górować w życiu społecznym i politycznym, nadając mu swe znamienne piętno. Żyjemy w pełni rozwoju epoki socjalnej, odczuwamy ją instynktowo i przewidujemy, że zanoszą się na ważne przeobrażenia społeczne, lubo nie wiemy, dokąd nas nowy prąd uniesie, czy i kiedy zatrzyma się na gruncie stałym, bezpiecznym. W nauce i polityce, w prawodawstwie i życiu, rodzi się dzisiejszy stan społeczny mnóstwo ważnych a trudnych zagadnień, które przywykliśmy nazywać krótko *kwestją socjalną*. Istnienie jej odczuwa każdy człowiek myślący, ale każdy inaczej ją rozumie i ocenia ze stanowiska swych własnych pojęć i ideałów, przesądów i doświadczenia.

Czemże jest owa kwestja socjalna, zaprzatająca najdzielniejsze umysły naszego wieku? O definicję dokładną i sprawiedliwą nadaremnie kuszą się uczeni i politycy, wodzowie ruchów socjalnych i ich zwolennicy. W nauce najwcześniej i najgruntowniej zajmowali się tą kwestją i dotychczas zajmują ekonomiści. Jakoż kwestja socjalna otrzymała przez to z góry pieczęć ekonomiczną, a nauka ekonomii społecznej zapewniła sobie faktyczny monopol umiejętnego jej badania i rozwiązywania. Dzięki ścisłemu związkowi z ekonomiką społeczną, wyświetlono też kwestję socjalną pod wielu względami, a nawet wskazano i utworono praktyczne drogi, wiodące do jej załatwienia. Wszelako z drugiej strony nie trudno dojść do świadomości, że kwestja socjalna nie jest wyłącznie ekonomiczną, że wybiega daleko po za osnowę i zadania ekonomii społecznej, a stąd także ów monopol faktyczny tej nauki wywołać musiał jednostronność w badaniu, tudzież w wynikach naukowych i praktycznych. Owa jednostronność wyszła jaskrawo na jaw w skrajnych teorjach ekonomicznych szkół liberalnej z jednej, zaś socjalistycznej z drugiej strony.

Kwestja socjalna jest niewątpliwie w pierwszym rzędzie kwestją *ekonomiczną*, ale nie jest nią jedynie i wyłącznie. Jako kwestja ekonomiczna, jest ona naj-

pierw dążeniem do podźwignienia z ekonomicznego upadku szerokich warstw społecznych, żyjących w niedostatku i ubóstwie, mimo olbrzymiego wzrostu bogactw, powszechnego postępu ekonomicznego i cywilizacyjnego. W takim znaczeniu atoli nie ma jeszcze kwestja socjalna znamiennych cech kwestji nowożytnej. Wszak także w starożytności i średnich wiekach po za całymi masami gnębionych niewolników żyły szerokie warstwy wolnych obywateli w ubóstwie, a nędzy ich starano się zapobiedz bądź przez bezpośrednią pomoc państwa i rozdawnictwo zboża, jak w starożytnej Grecji i Rzymie, bądź przez organizację dobroczynności publicznej w kościele, za pomocą fundacji i zapisów dobroczynnych, jak w wiekach średnich. Dzisiaj jednak w kwestji socjalnej nie tyle o jałmużnę się rozchodzi, ani o organizację opieki nad ubogimi, lecz o trwałe polepszenie doli ogółu klasy pracującej, przez stworzenie i utrwalenie *warunków sprawiedliwszego rozdziału dochodu społecznego*.

System dzisiejszej wolności na polu ekonomicznym, zwany systemem „wolnej konkurencji“, nie stworzył bowiem, jak poucza doświadczenie, ani istotnej wolności, ani równych warunków ogólnego postępu ekonomicznego. W ślepych pościgu za urzeczywistnieniem ideałów wolności nietylko zburzono dawne ograniczenia swobody osobistej i gospodarczej, ale rozbito zarazem korporacyjną organizację pracy. W konkurencyjnej walce ekonomicznej wypiera silniejszy słabszego i dyktuje mu prawa i warunki bytu — bez różnicy, czy silniejszym jest samoistny producent wobec zawisłego robotnika, czy ogół robotników lub kapitalista wobec producenta, czy nakoniec samoistni przedsiębiorcy w stosunku wzajemnym do siebie. Tak formalna wolność ekonomiczna okazała się w rzeczywistości tylko pozorną wolnością, zrodziła faktycznie samowolę u zwycięzców, a niewolę u zwyciężonych. Wśród ślepej walki, prowadzonej rozmaity, nie zawsze godziwą bronią, w chaosie luźnych i krzyżujących się usiłowań ekonomicznych, mnożą się groźne przesilenia gospodarcze i potężniejszy wpływ konjunktury, wypadków nieprzewidzianych, nie ujętych w karby społecznej organizacji. Wolna konkurencja tedy nie jest wyrazem najwyższego stopnia rozwoju ekonomicznych stosunków, jest raczej tylko stopniem, wiodącym do dalszego postępu. Dążenie do rozwoju wyższego zwraca się przeciwko wybujałej wolności gospodarczej za pomocą ograniczeń wolnej konkurencji i reform w organizacji produkcji społecznej. W dążeniu tem tkwi rdzeń kwestji socjalnej, jako kwestji ekonomicznej. Skoro jednak cel ów może być urzeczywistniony jedynie w związku z postępowaniem technicznym i w duchu wymogów sprawiedliwości społecznej, przeto nabiera nasza kwestja równocześnie dwojakiej cechy: technicznej i prawnopolitycznej.

Kwestja socjalna jest zarazem *techniczną*, albowiem zmiany i wydoskonalenia w technice produkcji przyczyniły się stanowczo do rozbicia średniowiecznych cechów i utworowały drogę panującemu systemowi wolnej konkurencji i produkcji przedsiębiorczej. W średnich wiekach górowała w produkcji praca ręczna przy pomocy narzędzia, dzisiaj, dzięki zastosowaniu w technice produkcji mechanicznej siły pary i elektryczności, zdobyła sobie przewagę machina. Machina nie odebrała wprawdzie klasie pracującej zarobku, jak wielu utrzymuje, ani nie stworzyła pauperyzmu: zastępując bowiem pracę w wielu, zwłaszcza uciążliwych zajęciach, wywołała natomiast mnóstwo nowych gałęzi produkcji i zarobku, rozszerzyła gałęzie istniejące, a

zastosowana w komunikacji lądowej i wodnej, położyła podwaliny dla rozległego podziału pracy terytorjalnego i międzynarodowego. W systemie wielkiej produkcji maszynowej atoli wzrosła potęga kapitału na wszelkich polach, osłabła zaś i rozprzegła się siła samoistnej produkcji drobnej. Producenci samoistni, średni stan rzemieślników, przemysłowców, nawet kupców, ścieśnia się liczebnie i słabnie politycznie i ekonomicznie, a wyżłobiony w organizacji społecznej wyłom zapewniają coraz nowe i zwarte szeregi pracowników i robotników zawistych, niezadowolonych, bo często niepewnych jutra, zepchniętych w pracy technicznej do czynności mechanicznych narówni z maszyną, a nie mogących marzyć o zdobyciu w przyszłości stanowiska lepszego i samoistnego.

Praca zawisła i mechaniczna odejmuje robotnikowi ów zapał i przyjemność, jakie zwykły towarzyszyć wolnej pracy zawodowej, niepewność jutra i niemożność postąpienia wyżej w hierarchii społecznej, napełniają go zawiścią i goryczą. Jakkolwiek zatem wielka produkcja maszynowa nie pozbawiła robotników zarobku, a nawet w ogólności podniosła ich byt ekonomiczny, mimo to jednak utrwaliła przepaść między przedsiębiorcami i kapitalistami, t. zw. „klasą posiadającą“ a robotnikami. Położenie ich ekonomiczne i indywidualne podniosło się, dzięki ich skromnemu udziałowi w owocach postępu i cywilizacji, ale ich stanowisko społeczne jako klasy pogorszyło się, albowiem w systemie wielkiej produkcji i wolnej konkurencji zazwyczaj tylko ludzie wyjątkowych zdolności lub uposażeni w kapitały, mogą z góry liczyć na zdobycie stanowiska trwałego i samodzielnego. Machina nadto skoncentrowała robotników, zbliżyła ich do siebie i obudziła wśród nich świadomość solidarności ich interesów jako klasy pracującej, w miejsce dawnego poczucia godności i ambicji zawodowej w każdej korporacji zosobna. Tak więc postęp w technice produkcji zarysował i utrwalił rozłam między dwiema klasami, a co gorsza rozłam ów uczynił *organicznym* w dzisiejszym systemie produkcji i obiegu. W świetle nowoczesnej techniki przedstawia więc kwestja socjalna nowe, zasadnicze trudności, które jedynie dalszy postęp techniczny uchylić zdoła. Kwestja socjalna staje się zarazem kwestją reform technicznych w produkcji, dążeniem do podniesienia siły produkcji drobnej, samoistnej, do uposażenia jej w mechaniczne motory, któreby, przy pomocy inteligencji i indywidualności producenta, mogły zwyciężką podjąć walkę z przygniatającą produkcją przedsiębiorczą. W ten sposób dopiero zniknąć może ów organiczny rozłam klasowy i wzmocni się stan średni samoistny, jako naturalny pomost między dzisiejszemi skrajnemi warstwami, zawistnemi i nieprzejednanemi. Kwestja socjalna więc wkłada na techników doniosłe i wdzięczne zadanie. Czy zadanie to zdołają wypełnić ulepszone drobne motory elektryczne, jak niektórzy zapowiadają, przyszłość okaże.

Kwestja socjalna jest dalej *prawną i polityczną*, ponieważ rozwija się i występuje w świetle właściwem dopiero na tle dzisiejszych stosunków prawnych i politycznych. Prawo dzisiejsze uświęca system produkcji przedsiębiorczej i wolnej konkurencji, i powołuje ogół do współzawodnictwa na formalnie równych warunkach prawnych. Upośledzone dawniej klasy, wyznania i jednostki, dawniejsi niewolnicy i poddani, zdobyły sobie lub z góry otrzymały formalne równouprawnienie, równość wobec prawa i w stosunkach wzajemnych, jednakową możność formalną życia i używania, dostąpienia wszelkich urzędów, zaszczytów i godności. Zasadniczo dopuszczono też całe społeczeństwo do udziału we władzy i rządach na równych warunkach. Z tą równością formalną w rażącej pozostaje sprzeczności faktyczny stan ekonomiczny większości społeczeństwa, a już zgoła ów organiczny rozłam klasowy, utrwalony nowoczesnym systemem ekonomicznym i postępowaniem technicznym. Jakoż dzisiaj uważa się powszechnie kwestję socjalną jako zjawisko,

spowodowane sprzecznością między formalnym równouprawnieniem ogółu, a faktycznym upośledzeniem szerokich warstw pracujących.

Kwestja nasza nie zamyka się jednak w ramach dzisiejszych stosunków ekonomicznych, technicznych, prawnych i politycznych. Ona sięga dalej i głębiej, obejmuje bowiem wszelkie objawy i czynniki życia społecznego, jest w całym tego słowa znaczeniu *społeczną*. Mianowicie jest kwestja socjalna także kwestją *oświaty i wychowania* narodu. Społeczeństwa demokratyczne dobrze zrozumiały i oceniły znaczenie oświaty ludowej. Bez oświaty bowiem nie masz świadomości praw i obowiązków prywatnych i publicznych, nie masz faktycznie równouprawnienia rządów demokratycznych, ani prawdziwej miłości ojczyzny. Ciemne masy ludowe szły zawsze, idą i pójdą za głosem tych przywódców i agitatorów, którym się uda zwodniczymi hasłami zjednać je i za sobą pociągnąć, obojętna, ażali naprzód lub w poprzek cywilizacji. Szerzenie oświaty zatem, chociażby przymusem, powszechny przymus szkolny, są prostym wynikiem zwycięstwa demokratycznej idei. W gorączce postępowej jednak przedstawiano sobie zbyt łatwo i powierzchownie sprawę ludowej oświaty. Formę wzięto za treść, środek za cel, rozpowszechnienie świadomości o zdobytych prawach, tudzież mechanicznej wiedzy czytania i pisania, za samą oświatę. Doświadczenie atoli pouczyło i codziennie uczy, że owe narzędzia oświaty są wprawdzie koniecznym krokiem do oświaty wiodącym, ale mogą się łatwo przemienić także w narzędzia ciemnoty i dzikości, jeśli nie znajdą zdrowego gruntu w wychowaniu narodu, jego uczuciach religijnych, moralnych i patriotycznych. Oświata prawdziwa nie da się osiągnąć naraz i sztucznie, lecz spadnie dopiero jako dojrzały owoc długiego i wszechstronnego rozwoju narodu. Oświata połowiczna u warstw pracujących zaognia wszędzie ferment społeczny, rodzi świadomość praw bez świadomości i poczucia obowiązków społecznych, daje przystęp zawistnym podszeptom i podżeganiom, wywołuje jawną niecierpliwość i bezwzględność szerokich mas, nie zawsze usprawiedliwioną, ale zawsze szkodliwą i dla cywilizacji groźną.

Z kwestją oświaty łączy się sprawa *etyki* społecznej. Społeczeństwo nowożytnie, jakby oszołomione niesłychanym postępowaniem ekonomicznym, olbrzymim wzrostem bogactw i możliwością ich używania, odznacza się materializmem, chęcią używania, nawet idealizowaniem użycia i zbytku. Życie bez pracy, marnotrawstwo i zbytek u góry, chęć wywyższenia się, używania lub przynajmniej błyszczenia pozorami użycia, życie nad stan u dołu, to niezawodnie objawy wypaczenia etycznego w społeczeństwie. Dążenie do gromadzenia bogactw i używania, egoizm indywidualny i klasowy, oddalają możnych od uboższych, posiadających od zawistych, przemieniają ich w przeciwne obozy, gotowe do walki i wzajemnego wyzysku, w miarę zdobytej siły i przewagi. W tym chorobliwym stanie etycznym wydają jedne klasy przesyconych i zdemoralizowanych Płoszowskich, bez idei i dogmatu, drugie Lassalów, z ideą wprawdzie i dogmatem, ale zamglonym nienawiścią i namiętnością, nie wahających się w najlepszej wierze szerzyć zawiści i waśni społecznej, burzyć podwalin cywilizacji ludzkiej, pragnących uszczęśliwić ludzkość za pomocą gwałtu, zawiści, bluźnierstwa i kłamstwa! Jest więc kwestja socjalna także kwestją etyczną i religijną, dążeniem do złagodzenia namiętności, swawoli i nieumiarkowania, za pomocą religijnego i etycznego wychowania i odrodzenia społeczeństwa.

Mamy więc w kwestji socjalnej wszelkie czynniki społecznego życia: jest ona kwestją ekonomiczną i techniczną, prawną i polityczną, religijną i etyczną, narodową i cywilizacyjną, słowem, jest to w całej pełni kwestja *socjalna, kwestja życia i organicznego rozwoju całego nowożytnego społeczeństwa*, utrzymania równowagi społecznej i zdobyczy cywilizacji ludzkiej,

wśród nowych warunków społecznych, ekonomicznych, technicznych, prawnych, politycznych i innych, w jakich znajdują się dzisiejsze społeczeństwa. Wszystkie żywioły kwestji socjalnej wiążą się z sobą i splatają w łańcuch nierozzerwalny, którego ogniwa wzajem w siebie wnikają i wzajemnie od siebie zależą. Żywioły owe nastąpiły i zjednoczyły się dopiero w najnowszej dobie historycznej, ztąd też dzisiejsza kwestja socjalna jest zjawiskiem nowym, właściwym naszym czasom. Dopiero nowożytna państwa wytworzyły w swem łonie jednolity organizm społeczny, żywy, myślący, równouprawniony. Masom ludowym pozwolono myśleć, mówić i dążyć do urzeczywistnienia swych ideałów, a darząc je równością formalną, powołano je, niejako wyzowano do marzenia o równości materialnej. Jakoż masy myślą, przemówiły i działają, a jeśli głos ich nie zawsze umiarkowany i sprawiedliwy, to tylko dowodem ich niedojrzałości, której zawsze towarzyszy brak umiarkowania.

Kwestja socjalna, rosnąca w naszych oczach w siłę i znaczenie, zawiera wiele zdrowych pierwiastków prawdziwego postępu, ale też groźnych zwiastunów burzy i zniszczenia, jeśliby jej nie umiano opanować i na właściwe skierować tory. Postęp ją zrodził, zadaniem też postępu złagodzić ją i usunąć. Ludziom krótkowidzącym, nie mającym historycznego zmysłu, wydaje się, jakoby nastał stan rozpaczliwy, z którego tylko jakiś gwałtowny, lub bardzo sztuczny eksperyment zdoła ludzkość wyzwolić; inni znowu pragną zażegnaniu burzy społecznej poruczyć Opatrzności, owym „prawom naturalnym“, jakie dotychczas przodować miały rozwojowi ludzkości. Pierwsi, niecierpliwi i nieumiarkowani, szukają ocalenia w licznych pomysłach i ideałach socjalistycznych i komunistycznych; drudzy, świadomie, czy nieświadomie, stają w jednym szeregu z epigonami szkoły liberalnej, którą w danej kwestji możnaby słusznie nazwać *fatalistyczną*. Nie wspominam tu o głośnym dzisiaj ruchu anarchistycznym, gdyż ruch ten jest jawnym wrogiem wszelkiej organizacji życia społecznego, fatalnem skojarzeniem samowoli i dzikości z pesymizmem i przesytem nowoczesnym.

Socjaliści nie widzą możności załatwienia kwestji socjalnej na gruncie utrwalonej od wieków budowy społecznej. Postępu społecznego dokona, wedle ich zdania, dopiero stanowcza ewolucja, przewrót dzisiejszego porządku społecznego, opartego na własności prywatnej, wolnej konkurencji i kapitalistycznej produkcji. Własność prywatna przeobrazić się ma w zbiorową własność ziemi i wszelkich środków produkcji, produkcja indywidualna i wolna konkurencja w konsekwencji zniknie, a ewolucja taka dokona się w naturalnym rozwoju społecznym, z wolą lub mimo, a nawet wbrew woli społeczeństwa. Nie wchodzę tu w bliższy rozbiór teorii socjalistycznej, wychodzącej jednostronnie z założenia ekonomicznego, a snującej ztąd wnioski, ogarniające całość życia społecznego i warunków cywilizacji ludzkiej. W krytyce urządzeń dzisiejszych i w swych zarysach ustroju przyszłego zapoznają socjaliści zazwyczaj lub lekceważą inne, niematerialne żywioły kwestji socjalnej, nie wyjaśniają, w jaki to sposób dzisiejsze ciemne masy ludowe i liczne nieokiełznane warstwy społeczne, przeobrazić się mają w dojrzałe i karne szeregi w nowym ustroju społecznym, jaką będzie rękojmia postępu mimo uchylecia osobistej samodzielności i odpowiedzialności, jaką ochrona praw i interesów jednostek, stronnictw i mniejszości narodowych przed wszechmocą i samowolą wybrańców większości? Nie przesądzając przyszłych losów ludzkości i ewolucyj socjalnych, nie możemy atoli zapominać, że społeczeństwo rozwijać się musi organicznie, wszechstronnie i stopniowo, sztuczne i gwałtowne eksperymenty są raczej hamulcem, niż bodźcem postępu. Gdyby więc istotnie rozwój ludzkości wiódł ku ustrojowi socjalistycznemu, to ustrój ten wyklucze się kiedyś sam przez się, jako dojrzały owoc

owego rozwoju. Eksperymenty gwałtowne, podkopywanie postępu i harmonji społecznej za pomocą wicherzeń, podżegań i gwałtów, zdolne są społeczeństwo raczej wstrzymać w jego naturalnym rozwoju, niż rozwój ten wywołać lub przyspieszyć.

Również optymizm teorii liberalnej nie znajduje uzasadnienia ani w historii, ani w dzisiejszym stanie społecznym. Państwo i społeczeństwo nie mogą patrzeć obojętnie na wzmagający się rozbrat społeczny, nie mogą, dla dogodzenia fatalistycznym mrzonkom, pozwolić na zaciętą walkę ekonomiczną, szarpiącą porządek społeczny, szkodliwszą i groźniejszą niż jawna wojna domowa.

Pomiędzy temi teorjami skrajnemi pośrednie zajmuje miejsce cały szereg teoryj, rad i wskazówek, zmierzających do załatwienia kwestji społecznej w drodze *reform* dzisiejszych stosunków ekonomicznych i prawnych, lub religijnego i moralnego odrodzenia ludzkości. Panująca dzisiaj w nauce i polityce europejskich krajów szkoła, porucza *państwu* posłannictwo rozwiązania kwestji socjalnej za pomocą reform ustawodawczych. Szkodliwą walkę konkurencyjną może i powinno państwo łagodzić w dwojaki sposób: częścią monopolizując w swem ręku zakłady i przedsiębiorstwa dobra ogólnego, lub dające szczególniejszą sposobność do wyzysku i walk społecznych, częścią zaś w drodze ustawodawstwa społecznego. Zadaniem tego ustawodawstwa jest ochrona słabych przed przewagą i nadużyciami silniejszych za pomocą ustaw fabrycznych i reformy całego prawa agrarnego, przemysłowego, handlowego, przez organizację sądów rozjemczych w sporach między przedsiębiorcami a robotnikami, przez przymusowe ubezpieczenia robotników, celem uzupełnienia w tej drodze ich płacy i zapobieżenia ostatecznej nędzy na wypadek śmierci ojca rodziny, choroby, starości, kalectwa i nieudolności, przez prawne ograniczenia lichwy i t. d. Dobroczyenne owoce praw socjalnych znane są już w całej Europie i niemal powszechnie uznane, a wątpić nie można, że niebawem zakorzenią się one wśród wszystkich społeczeństw cywilizowanych i zrosną się z ich poczuciem prawnem i etycznym.

Wszelako nie łudźmy się mniemaniem, iżby samo państwo mogło kwestję socjalną załatwić i uchylić. Ustawodawstwo socjalne jest logicznym rozwinięciem całego ustawodawstwa dzisiejszego w duchu demokratycznym, jaki przenika wolę i działanie nowożytnego państwa. W tym samym duchu uzasadnioną i pożądaną jest też reforma prawa cywilnego i karnego, procesowego i administracyjnego. Ustawy jednak nie mają twórczej siły przeobrażenia żywiołów społecznych. one mogą kwestję socjalną złagodzić, mogą utorować drogę do stopniowego jej załatwienia, ale jej z widowni dziejowej nie usuną. Widzieliśmy bowiem, że kwestja socjalna jest w ogólności kwestją bytu i rozwoju społeczeństw nowożytnych. W tem znaczeniu dosłownem nie będzie ona tak długo załatwioną, dopóki żyć będą i rozwijać się społeczeństwa w znaczeniu dzisiejszem. Albowiem ruch, dążenie do zdobycia lepszych warunków bytu, do ciągłego, nieskończonego postępu, to oznaka żywotności jednostek, klas i zawodów, rękojmia postępu i objaw nieśmiertelnego ducha człowieka. Zupełny spokój społeczny, zadowolenie ogółu, przesylenie, to śmierć społeczeństwa i kres cywilizacji. Mówiąc więc o załatwieniu kwestji socjalnej, mamy jedynie na myśli stworzenie warunków *pokojowego* życia i rozwoju społecznego. Osiągnięcie takiej równowagi społecznej jest niewątpliwie możliwym i kiedyś nastąpić musi. Ale nie zależy ono w zupełności ani od państwa, ani od chwilowego nasycenia tej lub owej niezadowolonej klasy społecznej, lecz od współdziałania i organicznego postępu tych wszystkich czynników, które kwestję socjalną wywołały i podtrzymują, w szczególności od rozwoju stosunków ekonomicznych, technicznych, prawnych, politycznych, etycznych, religijnych, oświaty i narodowych. Sztucz-

ne eksperymenty nie zdołają zastąpić organicznego rozwoju całego społeczeństwa, postępu wszystkich żywiołów społecznych. Społeczeństwo zatem musi wpięrow dojrzeć pod każdym względem i uodrodzić się moralnie. Dopiero społeczeństwo *dojrzałe* zdobyć się może na ów spokój, umiarkowanie i równowagę, które dzisiejszą kwestję socjalną usuwa z porządku, dziennego. Droga ku temu celowi daleka i żmudna i dopóki to nie nastąpi, ma społeczeństwo i państwo niewątpliwe prawo i obowiązek koniecznej obrony przed niebezpiecznymi przedsięwzięciami i zamachami na ustalony porządek prawny i społeczny. W ocenie moralnego znaczenia owych ruchów i zamachów, jeżeli tylko przeniknięte są istotnie ideą socjalną, bądźmy atoli umiarkowani. Pozostawmy wydanie ostatecznego wyroku trybunałowi historii, która rozprawi się z niemi kiedyś, podobnie, jak już rozprawiła się z podobnymi objawami i wykroczeniami fanatyzmu religijnego, politycznego i narodowego.

Dr. Stan. Głabiński.

Wycieczka do Budapesztu.

I.

Budapeszt, 1 października.

[Ogólne uwagi. Potężny rozwój żywiołu madjarskiego. Czym dzieje się to kosztem? Ucisk narodowości niemadjarzkiej. Dobrowolny haracz, opłacany przez Austrię. Budapeszt w rozkwicie. Buda. Na górze zamkowej. Spotkanie ministra i krótka z nim rozmowa].

W «lasku miejskim» (*«Varosliget»*), niby «*Bois de Boulogne*» peszteńskim znajduje się obecnie, malowana przez malarza węgierskiego, Arpada Feszty, zięcia Jokaja, piękna i bardzo efektowna panorama, budząca wielki i żywy interes całego ogółu tutejszego. Olbrzymie płótno przedstawia hufce zwycięzkie Arpada na gruzach i zgłiszczach wielko-morawskiego państwa Swatopluka. Widać w głębi płonące wsie z chatami o słomianych strzechach, strwożoną i zrozpaczoną ludność tubylczą u stóp zwycięzców, widać leżące trupy, krew czerwieni się przy blasku łuny pożarów, która też oświetla dzikie twarze zdobywców. Napis głosi: «Osiedlenie się madjarów. Naród bierze przed tysiącem lat kraj w posiadanie». Tysiąclecie przypada w r. 1896, obraz więc antycypuje rocznicę historyczną, przysposabiając patryjotycznie umysły ludności dla «wystawy tysiąclecia», jaka tu w wymienionym roku, w celu uczczenia wielkiej rocznicy, będzie urządzoną.

Tysiąc lat! Mordy i pożoga towarzyszyły pochodowi madjarów do Europy, krwią i ogniem zaznaczyło się podbicie przez nich kraju, a dziś, po upływie lat tysiąca, trwa ten sam ucisk zwyciężonych słowian i rumunów, z tą tylko różnicą, iż obecnie, zamiast ognia i miecza, szkoła madjarska i madjarski zarząd państwowy gnębią praludność tych ziem pięknych i tak szczerze przez naturę wyposażonych. Wszystko tu ledwo dyszy w kleszczach żelaznych maszyny państwowej: centralizację polityczną i system wynaradawiania doprowadzono w ramach rzekomo konstytucyjnych do — okrucieństwa. Na siedemnaście milionów ludności węgierskiej jest co najwyżej sześć milionów madjarów, resztę stanowią słowacy, serbowie, rumuni, niemcy i chorwaci. Ci ostatni posiadają, jak wiadomo, samorząd, są zatem jedyną narodowością w państwie korony św. Stefana, której wolno od dychać powietrzem narodowym, chociaż także nie pełną piersią. Wszyscy inni wyjęci są zupełnie z pod prawa narodowego, a podnieść należy, iż to upośledzenie łączy się z upadkiem ekonomicznym, gdyż w ręku narodowości panującej ogniskuje się dobrobyt przy systemie patryjotycznej protekcji, synekur i zapomóg państwowych, udzielanych przedsiębiorstwom madjarskim. Jest to środek powiększania szczupłej liczby rasowo wymierających prawdziwych madjarów, gdyż to, czego madjarska szkoła jeszcze nie dokonała, uzupełnia — w tym kierunku osobisty interes, dla którego obcoplemieńcy stają się zaciętymi madjarami, lub co najmniej tak zwanymi «madjaronami», służalcami ucisku, który współbraci ich gnębi.

Tem się też tłumaczy na Węgrzech asymilacja żydów, którzy stanowią tu potęgę. Budapeszt na mniej

więcej półmilionową ludność, posiada nie mniej jak 150,000 żydów, którzy prawie cały handel i przemysł dzierżą w swoich rękach, a za pomocą owdładniętej w największej części przez siebie prasy węgierskiej, wywierają znaczny na każdym kroku wpływ na rząd, parlament i całe społeczeństwo. Żydzi i madjaroni, nie mówiąc już o samych madjarach, mają w pięknym tym i bogatym kraju istny raj — ci znowu, którzy trzymają się mowy i obyczaju ojczyznośc, muszą znosić prześladowanie na każdym kroku.

Słowacy opętani przez żydów, a przygnębieni przez madjarów, wpadli w apatię, tak, iż dziś madjarzy wyrażają im z powodu «dobrego zachowania się» swe zadowolone, a nawet wystawiają im świadectwo, iż «zaczynają już dobrze mówić po węgiersku». Serbowie w południowych Węgrzech, naród wogóle lekki i hulaszczy, mało dba o przyszłość narodową, a więc i oni są znośni; niemcy w Siedmiogrodzie i Banacie siedzą teraz mniej więcej cicho, zatem «globus madjarski» miałby ze strony tych trzech narodowości spokój i wogóle panowałby porządek w państwie, gdyby nie «krnąbrni» rumuni, którzy ciągle wicherzą i walczą, podburzając nawet inne narodowości «przeciwko państwu». Ciekawą jest wielce rzeczą, iż wszelkie upominanie się o prawa narodowe tutejszych ludów niemadjarzkiej poczytywaniem jest albo za zbrodnię stanu, lub co najmniej za wykroczenie i wicherzenie przeciwko państwu. Jeśli np. słowacy lub serbowie upominają się o najmniejszą drobnostkę językową lub narodową, zaraz bije prasa na alarm, piętnując to jako «dążność panslawistyczną», a znowu co do rumunów jako knowania «zagraniczne», to jest pochodzące z królestwa rumuńskiego. W parlamencie węgierskim, liczącym 453 posłów, nie posiadają żadnego narodowego przedstawiciela swego ani słowacy, ani serbowie, ani rumuni, którzy razem stanowią około siedmiu milionów ludności. Niemcy są także reprezentowani w ciele ustawodawczym albo przez madjaronów, lub też przez ludzi całkiem obojętnych. Więcej nad to nie potrzeba dla zilustrowania panujących w państwie madjarskim stosunków politycznych i narodowych. Dla madjarów wszystko, dla innych nic, pierwsi są panami, drudzy niewolnikami, dla których nietylko nie istnieją prawa narodowe, lecz i konstytucyjne.

Przy tym systemie wzrasta madjaryzm w potęgę, rozwija się w każdym kierunku zdumiewająco, a równomiernie z tem podnosi się jego dobrobyt, dzięki ugodzie z Austrią, która na współnopaństwowe wydatki płaci 70, węgry zaś 30 od sta. W bieżącym roku wynosi sam wydatek na armję 116 milionów guldenów, prócz tego są jeszcze wydatki ministerstwa spraw zagranicznych. Jeśli jednak przyjmiemy w przecięciu, dla okrągłego rachunku, nie więcej jak 100 mil., to od czasu zawarcia ugodę z Węgrami, w r. 1867, zapłaciła Austrija im dobrowolnego haraczu, wedle powyższego stosunku odsetkowego, przy zasadzie równomierności wspólnych ciężarów, nie mniej jak 540 milionów guldenów.

Cóż więc dziwnego, iż przy brutalnym wyzysku jedenaście milionów przez prawie dwa razy mniejszą liczbę madjarów, i tak znacznym haraczem, pobieranym od Austrii, madjaryzm kwitnie zdumiewająco i potężnie wzrasta w siły.

Nie byłem przez dwa lata mniej więcej w Budapeszcie, a więc przez stosunkowo dla rozwoju miasta bardzo krótki przeciąg czasu, a pomimo to jakież znalazłem zmiany! Miasto rośnie iście po amerykańsku, przekształca się, naturalnie, w mniejszych rozmiarach, podobnie jak Paryż za czasów gospodarstwa Hausmanna. Przebijają się i rozszerzają ulice, liczne stare domy ustępują miejsca nowym, wykwiłnie urządzonym, nowe szerokie ulice zabudowują się okazałymi i gustownymi gmachami z zadziwiającą szybkością, czego dowodem jest założona przed dziesięciu laty wokoło miasta ulica «Nagy korut», podobnie jak w Wiedniu «Gürtelstrasse», dziś na przestrzeni przynajmniej trzech kilometrów prawie zupełnie pałacami zabudowana. Wspaniała to bulwar, godne *pendant* do Avenue Andrassyego, o której może nie bez słuszności węgry twierdzą, iż podobnie pięknej ulicy niema w żadnym mieście. Na nowym *ringu* (Nagy korut) i innych ulicach biegnie kolej elektryczna, a pod Avenue Andrassyego buduje się także kolej podziemna. Wszędzie sklepy z wystawami wspaniałymi, wykwiłne lokale publiczne, eleganckie kawiarnie, jakich Wiedeń nie posiada, toną w rzesistem oświetleniu łukowych lamp elektrycznych, co przy wielkim ruchu sprawia wra-

zenie jednej z pierwszorzędných stolic europejskich. W olbrzymim rozwoju miasta ma rząd znaczny udział, udziela on bowiem szczerze zapomóg państwowych, ale tylko «dobrym madjarom», na zakup placów, zasila instytucje hipoteczne bardzo znacznie, aby mogły dawać wysokie pożyczki, zwalnia nowe domy od podatków aż na lat trzydzieści i robi inne ułatwienia, przez co pomaga ogromnie do wzrostu miasta. Z drugiej strony również rząd nie żałuje znacznych nakładów pieniężnych w celu popierania handlu i przemysłu, jednym słowem, stara się o rozwój wszechstronny. Fabryki, wyrabiające artykuły nowe, które dawniej sprowadzano z zagranicy, otrzymują znaczne zapomogi rządowe. Tym sposobem czyni rząd nadzwyczajne wysiłki, sypiąc wszędzie pieniędzmi austriackimi.

Również i miasta prowincjonalne nie pozostają bynajmniej w tyle za stolicą, cały kraj wzrasta w dobrobyt, a zaiste niedalekim już jest czas, kiedy Budapeszt prześcignie Wiedeń, a Węgry—Austrię. Zarobek tu już teraz lepszy, cyrkulacja pieniędzy także większa stosunkowo, aniżeli w Wiedniu. Gdzie spojrzeć, są lokale publiczne pełne gości, wszystko żyje tu dobrze i wesoło—muzyki cygańskie na każdym kroku, w eleganckich restauracjach hotelowych i najwykwintniejszych kawiarniach, wszędzie rozlegają się dźwięki czardasza na najróżnialsze tempo: raz melancholijnie, przypominając dawny ucisk w czasach panowania tureckiego, to znowu wesoło i zapalczywie, odpowiednio do chwili obecnej. Zaiście dziwić się trzeba, iż nie sprzykrzyły się madjarom jeszcze zawsze jednostajne dźwięki, przy których umierały generacje i nowe wzrastały, zawsze niemi zachwycone i w takt ich podrygujące. Corsa wieczorami roją się ludźmi, widać mnóstwo pięknych toalet damskich, a dodać trzeba, że węgierki są zgrabne, piękne i zalotne. Wogóle ładna to rasa ludzi, pochodząca z pokrzyżowania plemion rozmaitych: brzydkich twarzy prawie nie widać. Panuje tu w każdym kierunku ruch i wykwintność wielkomięjska, zdumiewająca każdego, kto znał stolicę węgierską jeszcze przed laty kilkunastu, jako miasto dość brudne, z ludnością o połowę mniejszą i odznaczające się szykiem cygańskim.

W każdym kierunku rozwój olbrzymi. Rząd popiera tak samo sztuki piękne i piśmiennictwo. Obecnie posiada np. Budapeszt szesnaście węgierskich, a pięć niemieckich pism codziennych, a między niemi sześć ilustrowanych. Jedno z tych ostatnich «Szabad Sze» podaje codziennie na pierwszej stronnicy kolorowany, bardzo piękny obrazek. Każde stronnictwo ma po kilka swoich organów partyjnych. Prowadzą one z sobą walkę na zabój, jednak zawsze i wszędzie, jeśli chodzi o obronę madjaryzmu, zwierają szeregi i walczą razem jak najzapalczywiej. Prasa tutejsza pozostaje przeważnie w rękach żydów, podobnie jak handel. Dziś, jako w dzień świąt żydowskich, większa część sklepów zamknięta, a są to największe i najbogatsze sklepy. Tak samo żydzi są właścicielami prawie wszystkich nowowyprowadzonych, najwspanialszych pałaców. Jeden z przedsiębiorców żydowskich zakupił w śródmieściu grupę starych domów, zwalił je, a obecnie buduje na ich miejscu olbrzymi gmach na sposób amerykański, z ośmioma piętrami nad powierzchnią ziemi, a trzema w jej głębi. Będą tu oryginalne i najróżnialsze miejsca zabawy. Ulice głównejsze są asfaltowane, z szerokimi chodnikami, a wszystkie nowe szerokie i przestronne jak bulwary.

Tak samo wzrasta i Buda, dziś stanowiąca z Pesztem jedną gminę wiejską, choć topograficznie stanowi miasto odrębne, oddzielone Dunajem i posiadające właściwe swe znamię. Położenie tego miasta jest prześliczne; widok Budy z pięknego quai peszteńskiego musi zachwycić każdego. Wspaniałych kilka mostów łączy z sobą oba brzegi Dunaju. Na prawym, gdzie leży Buda, wznoszą się góry Budzińskie. Bloksberg, z dawną cytadelą forteczną, a obok niego stroma góra, na której się wznosi zamek królewski, gmachy publiczne i część miasta, królują w miłowym okręgu nad całą naddunajską okolicą. Dalej w głębi widać Adelsberg, słynny z winnic, i Schwabenberg. Wszystkie te góry, razem z zasianymi na nich willami i domami, tworzą przestronną perspektywę, przetrzyętą zaletami przez Budę dolinami nad brzegiem Dunaju. Przez górę zamkową idzie duży tunel, łączący dwie części miasta. Dawniej Buda posiadała wyłącznie ludność niemiecką, obecnie jest już dobrze zmadjaryzowana, choć język niemiecki jeszcze tu przeważa.

Część miasta na górze zamkowej, cytadela na Bloksbergu zachowały cechy przeszłości. Ze starych murów tchnie duch dawny, a ich widok budzi wspomnienie panowania paszów tureckich. Tu obok zamku cesarskiego jest siedziba wszystkich ministerstw w starych domach, prostotą swoją dziwnie odbijających od wspaniałości nowych pałaców i gmachów w Peszcie. Przed domem prezydium gabinetu wznosi się pomnik austriackiego generała Hentzi z następującym napisem: «Generał Hentzi, a z nim pułkownik Allnoch i 418 walecznych ponieśli tu śmierć w ofierze dla cesarza i ojczyzny». O kilkaset kroków dalej widzimy pomnik, poświęcony pamięci rewolucji węgierskiej z r. 1848, a apoteozujący właśnie tych, którzy zabili generała Hentzięgo z jego walecznymi.

Jednopiętrowe, żółto pomalowane budynki rządowe, mieszczące ministerstwa, urzędy i komendę korpusu, ciągną się aż do placu św. Macieja, przy którym wznosi się najstarszy tutejszy kościół, zbudowany przez Macieja Korwiną, w slicznym stylu gotyckim dziś odnowiony. Tu stoi także wcale niepokaźny stary gmach, z zewnątrz tylko czyściutko wytynkowany, mieszczący ministerstwo skarbu, gdzie prezydent gabinetu, Wekerle, posiada swe biuro. Długie, z gotyckimi sklepieniami krużganki wskazują, iż budynek ten, sąsiadujący z kościołem św. Macieja, musieli dawniej zamieszkiwać zakonnicy. Na całej długiej przestrzeni ulicy szerokiej, łączącej plac Hentzięgo z placem św. Macieja, odbywają się targi bardzo ożywione, na które przywożą jarzyny, owoce, kwiaty, artykuły spożywcze, nasiona, drób, wreszcie paprykę z szerokich otwartych worów czerwono wyczierającą. Przekupnie, wieśniacy, przedstawiają mozaikę najróżniejszych typów i strojów ludowych. Przeważają wogóle Niemcy, ale nie brak tu i Serbów, zwanych «racami», Słowaków, a nawet oryginalnego Turka, sprzedającego słodczyce wschodnie: «rohat łakkum» i «halwę». Piękny to obraz rodzajowy, pełen oryginalności, barw i ruchu.

Ledwo przedarłem się przez tłum i ciżbę targową na plac, przy którym znajduje się ministerstwo skarbu, chciałem bowiem złożyć swoje uszanowanie ministrowi. «Kopusz» (portjer) powiada mi, że minister jest w swoim biurze. Idę więc na pierwsze piętro do sekretariatu prezydjalnego, ale tu oświadcza mi jakiś radca, że ministra niema. Pytam go, kiedy mógłbym mu się przedstawić, lecz on zaczyna kiwać głową i po krótkim namyśle powiada:

— Będzie to rzecz bardzo trudna, gdyż ekscelencja chwilowo jest bardzo zajęty.

Wtem otwierają się drzwi i ukazuje się w nich w całej swej okazałości minister spraw wewnętrznych Hieronimi. Sposzrzegl nas, zbliżył się i zapytał:

— Czego ten pan sobie życzy?

Radca sklonił mu się nisko i odpowiedział:

— Pan ten chciał się widzieć z jego ekscelencją, prezydentem gabinetu, ja zaś oświadczyłem mu ..

— Prezydent gabinetu — przerwał minister Hieronimi — jest istotnie tak zajęty, iż nie może nikogo przyjmować, ma do załatwienia jeszcze kilka spraw przed dzisiejszym posiedzeniem izby magnatów, które rozpoczyna się za godzinę.

— A ja sądziłem—mówił radca, nieco zakłopotany— że jego ekscelencja już wyszedł.

Minister Hieronimi uśmiechnął się i rzekł:

— U nas bywa tak, iż jesteśmy i niema nas—nawał pracy tłómaczy to — a zwracając się do mnie, zapytał: Z kim mam przyjemność?

Przedstawiłem się ministrowi Hieronimemu, jako wasz wysłannik.

— Czego chciał się pan dowiedzieć?

Odrzekłem, iż pragnąłem się poinformować o położeniu Węgier na miejscu najkompetentniejszym.

— Interview?—podjął minister—kolega mój, tak jak i ja — dodał zartobliwie — nie możemy zdradzić żadnej urzędowej tajemnicy. Położenie nasze jest wogóle dobre, żyjemy, pomimo że opozycja głosi, iż moje stanowisko jest, no... już sam nie wiem jakim. W specjalnych sprawach mógłbym panu powtórzyć chyba to, co p. prezydent gabinetu o naszych stosunkach narodowościowych, w szczególności o rumunach powiedział p. Raulowi Cheliard z «Figara» paryżkiego, ale to są już rzeczy znane. Jakoś to będzie... No, a co do sprawy kościelno-politycznej, to wiesz pan, iż obecnie znajduje się ona na dobrej drodze.

Po wymianie jeszcze kilku słów, odszedł minister, spiesząc się na posiedzenie izby panów.

Z Budy wróciłem do Pesztu i tu rozpocząłem w celach informacyjnych wędrówkę od Anasza do Kaifasza, ale o tem w przyszłym liście.

Grzegorz Smólski.

Z POEMATU „POD WIEDNIEM”.

SPIEW DZIEWIĄTY.

3)

PRZEZ

DEOTYMĘ.

W przeddzień wymarszu, chcąc się *in extensu*
Wypytać niebios o bogosławieństwo,
Dziwnie on długo ciągnął nabożeństwo.
Mówił, zapalał—drugi Piotr z Amiensu.
Kazał królowi, panom i husarji,
Powtarzać imię Jezusa i Marji.
A Jaczko czekał, i precz liczył cugi.
Lecz gdy południe dopiekło gwałtowniej,
Znów do chocimskiej powrócił warowni ¹⁾.
A było już pół do drugiej.

Sam czas. Od przodu podniosły się platy,
I Jaczko nagle, bez żadnych obsłonek,
Ujrzał naroścień cudowny przedsiemek,
Wskroś od słonecznych plam tarantowaty.
Stół był dziś większy, w podkowę łamany,
Bo nie z książęty, lecz z radnemi pany,
Król po zwyczaju miał się do obiadu.
Majdan, jak codzień, wrzał od zbiegowiska.
Ze zaś pan Marek nie czynił dziś ładn,
Więc przyglądano się zblizka.

Świetne lokaje i kamerdynery,
Stół nakrywały na pięćdziesiąt osób.
Tlum znów podziwiał srebra i patery.
Jaczko chciał także coś widzieć... nie sposób!
Zapóźno przyszedł, w dziesiątym był rzędzie.
Wszyscy skwierczeli jak ptactwo na grzędzie.
A jednak trwali z szyją wyciągniętą.
I on trwał tedy cierpliwie, choć upał
Wyjadał oczy i w głowie mu łupał.
Nakoniec szeptać zaczęto:

— «Oho... Już idą!»... I wnet, wał ruchawki
Nieco się cofnął, jak morze w odpływie.
A pod namiotem zabrzmiały szczerliwie
Trzaskania szabel, rozsuwane ławki,
Zgiełk przy doborze miejsc i towarzyszy.
Potem, stół cały pogrążył się w ciszy;
Tylko coś drgało, jakby kto ostrogą
Podzwaniał; pewnie jedzono tam zupe.
Ach, a nasz Jaczko, w najciaśniejszą kupę
Wbity, nie widział nikogo!

Rad był przynajmniej, że łyżki mu brzęczą.
I oto, z naglej w oświetleniu zmiany,
Poznał, że wkracza już pod wyszywany
Okap namiotu, co nakrył go tęczą.
Tu, raz cofniony, to znowu popchnięty,
Szedł, niby minier, w podkopne zakrety,
Aż, sam nie wiedząc jak się to zrobiło,
Stał przy jednym z dwóch końców podkowy.
Dokąd magiczną przyciągnął go siłą,
Pyszny zapaszek octowy.

Goście tam jedli przeróżność marynat,
I ryb dunajskich. W rozmowie też, niby
W Dunaju, grube przewodziły ryby.
Zwłaszcza dwie: Marcin Zamojski, ordynat,
I «wielki» Denhoff, co niepostrzeżenie,
Brał jak najdalsze od króla siedzenie,
Bo dobrze wiedział i czuł, że niemało
Traci na blizkiem porównaniu z królem.
(Bardzo to pana Denhoffa bolało,
Lecz krył się pilnie z tym bólem).

Pełno tu było słuchającej młodzi.
Głos miał pan Marcin, a jego perora
Tak się kończyła: «Nie, to nic nie szkodzi,
Że nasz rotmistrz bryłował zawczora
Swoim ślimakiem i trójką w ósemce.
Niechże i z saltów pochwalą nas niemce,
Ktędy dziś, wszystkie polerowane ludy
Na to się sadzą. Lecz mam-li być szczery,
To manezowe te końskie maniery,
Są warte jarmarcznej budy».

¹⁾ To jest do namiotów zabranych pod Choćmem, które miały kształt płóciennej warowni.

— «Ach, tak!»—zawołał Dziedoszycki Jerzy,
(Syn kasztelana), co jeszcze miał lice
Prawie dziecięce, najmłodszy z młodzieży,
A już tak dziwnie uczony w hipice,
Że go słuchali starzy towarzysze.
Nawet wrócono, że książki napisze.
Krażył przy ławach, uważny, ciekawy,
W każdą rozmowę wskakiwał jak w siodło,
A gdzie o koniach toczono rozprawy,
Tam już przecucie go wiodło.

— «Ach tak!»—powtórzył z przejęciem. Pstre figle!
Dziwi się każdy, a sam nie wie czemu?
Tyle w tem sensu, co i sadła w szczygłe.
Czyż to nie piękniej, kiedy po naszymu,
Rumak przez pole sunie wichrowato?
Koń jest na wojnę, lub łów—a nie na to,
Aby jak dziewczka nóżkami przebierał.
Ślicznie-by Polska wyszła na tej zmianie!
Tak właśnie, jako ci sybarytanie,
Z których to kpił ów jenerał».

Słów tych nasz Jaczko utracił połowę,
Bo korzystając z czyjegoś odwrotu,
Sam się posunął ku głębi namiotu.
Już też monarszą dopatrzył tam głowę,
Choć jeszcze słabo, gdyż król odwrócony,
Wciąż się pochylał do przeciwnej strony,
Gdzie ksiądz Szumlański, episkopus lwowski,
(Wschodniego rytu), wrzał cały dysputą,
I, co się odciał na królewskie wnioski,
To brodę poglądał sutą.

Woloszyn nie chciał rozruchu wywołać,
Czekał, aż fala znów naprzód go poda.
Tymczasem, spojrzal po stole. Ta połać
Nie była gwarna. Tylko wojewoda
Piotr Opaliński, przemawiał wyniośle.
Mąż prawy, «primus» w rycerskiem rzemiośle.
Ale i w pańskiej niezrównany dumie.
Mówił powoli, a bardzo dobitnie,
Jak ten, co chłostę wymierzając, umie
Przetrzymać, nim różgę wytnie.

Postać to była magnacka i górna,
Z szubą i twarzą zarówno paradną.
— «Są tacy—mówił—co w uszy mi kładną,
Że za dni naszych wraca wiek Saturna,
Że wielkich, mądrych, jest u nas na kopy,
I że królowie całej Europy,
Znów się przed polską kłaniają potencją.
Lecz inni (słusznie!) nasz wiek za to gania,
Ze dzisiaj ludzie grzeszą impajencją,
I wielkość kupują tanio.

Dawnemi czasy, nim zasiadł kto w radzie,
Już liczył poczet antenatów długi,
Dziesięć pokoleń marsowej zastugi.
Dziś, mniej zachodu w te rzeczy się kładzie.
Tak! I w senacie są już ludzie nowi!
Niech się kto jeno spodoba królowi,
Masz województwo! Naści kasztelanja!
Dla nowicuszów przytrudna to szkoła,
Dla starożytnych zaś rodów, awanja,
Co pomsty, niebieskiej woła».

Po tym piorunie, wnet stół się ożywił.
Śród możnowładców był ruch. Pan Sieniawski.
Dwaj Lubomirscy, Potoccy, Radziwiłł,
Dając pod stołem przygluchle oklaski,
Zachęcająco na mowę mrugali.
Lecz i szemranie przebiegło po sali.
Bo też z obecnych, nieledwie co drugi
Pan czy senator, to byli ci «nowi»,
Których król, znawca wszelakiej zasługi,
Wyniósł, na przekór losowi.

Dla nich prawdziwą to stało się kłeską,
Że pan Mateczyński, co był u nagłówka
Stołu, daleko, nie słyszał ni słówka
Z tych pańskich gromów. On byłby zwycięzka
Wyciał odpowiedź. O! ten, ile razy
Dostrzegł gdziekolwiek cień jakiejś obrazy
Dla króla, zaraz najeżał się srogo,
I nie obwijał swych nauk w bawelnę.
Nie dziw. Kto serce miłości ma pełne,
Ten się nie boi nikogo.

Bylić i drudzy, i nie malowani.
Łużecki siedział z Piekarskim, ci byli
Wojewodami; dalej kasztelan, i
Jaskólski Marjusz, i Kierski. W tej chwili
Trudno ich zliczyć, bo w sali za tłoczno.
Ci wszyscy drgnęli. A potem, jak poczną
Patrzyć po sobie, to wzrok ich wyraźnie
Gadał: «Nie można, nie! tej filipiki
Puścić bezkarnie. A to tyran dziki!
Mój bracie, spraw ty mu łaźnię».

WYCHOWANKA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

O S T O J Ę .

16)

Lecz któż się porwie na ten krok. Nie małaż
Bo to rzecz, starszych obatożyć braci!
Jak były żaczek, choć sam już bakalarz,
Przy starych mistrzach na śmiałości traci,
Tak oni, nagle zapomnieli mowy.
Cisza: Nakoniec, znalazł się takowy,
Co i za siebie przemówił i za nich.
W Jaskólskim zawrzał istny gniew Marjusza.
Więc rzekł, czerwienisz od swego kontusza:
— «A! I ja jestem z tych... tanich.

I słowa moje, też nie wiem po czemu
Stoja? Więc wolę powtórzyć jedynie,
To, co przed laty, panu Tarnowskiemu,
Kancelarz Ocieski powiedział w Lublinie:
Ze gdyby zawsze, sami starożytni
Przodem iść mieli, nasz trud byłby zbytni,
I niejednemby się odechciało,
W dziesiątych wnukach czekać za wypłatą.
Mieć antenatów, to piękna jest chwala—
Lecz piękniej, być antenatą.

Czy słońce przeto podlejsze na niebie,
Ze pożyczanych światłości nie bierze?
Lepszy ten pono, co cnotę ma z siebie,
Niż ten, co w cudze przystraja się pierze».
Gdy pan Jaskólski wypalał tę mowę,
Jego stronnicy podnosili głowę,
A zaś magnaci mruczeli wspaniale,
Aż im się pulchne wzdymały podbródki.
Nastala wrzawa. Już każdy, w zapale,
Rzynał swoją myśl bez ogródki.

Rad owej walce brytanów i liszek,
Michał Rzewuski (co też rozpoczynał
Świeży ród pański), zadzwonił w kieliszek,
I głosem tnącym jak włoski puginał,
Rzekł: «Na mój rozum, sam Ojciec Niebieski,
Ma też opinię, co miał pan Ocieski;
Bo gdy mu jacy za długo jaśnieją,
To bez pytania ze świata ich sprząta,
I nowe rody wyprowadza z kąta,
By każdy świecił koleją.

Toż w oczach naszych znikł, ostatni z rodu
Panów Tęczyńskich, toż Herburty gasną,
I Konięcpolscy już nie mają komu
Legować miecza. Co daje znać jasno,
Ze providencja, zawdy sprawiedliwa,
Tak się do ślepej bogini odzywa:
«Na twojem kółku ciasno jest, Fortuno;
Polskiej tam szlachty nie pomieścisz wszystkiej.
Niechże więc syci już na dół się zsuną,
A winduj mi głodne chłytki».

Tak ów dowodził. Co rzekli zaś drudzy,
Tego woloszyn już nie był ciekawy,
Bo się firanki rozwarły, i słudzy
Zaczęli wchodzić z nowemi potrawy.
Pierwszy, do króla dążący najprościej,
Niósł w obu rękach, nad głowami gości,
Pólmich ze srebra, podobny do łodzi;
Na nim, pieczenie daniela i sarnie.
Każdy go puszcza i z drogi mu schodzi,
A wolołch się za nim garnie.

Jak rekin, wpadłszy w bruzdę wyoraną
Przez okręt, pierśią dogania go ślizka,
Tak Jaczko, między makatową ścianą
A lawą, płynął za błyszczącą miską.
Aż dopadł miejsca gdzie ustał w pogoni,
Bo ztąd już króla widział jak na dłoni.
Król teraz milczał, z rozmyślań, czy troski?
Może i rozmów nie słyszał w zadumie.
A szkoda. Bowiem hetman Jabłonowski
Rozprawiał, jak to on umie.

Mówił mierzonym tym głosem statysty,
Co zawsze głaszcze, choć nawet i przeczy;
Na ustach nosił swój uśmiech wieczysty;
Lecz musiał mówić straszne jakieś rzeczy,
Bo gdy ostatnie wypowiedział słowo,
Gwałtowna burza pękła mu nad głową.
Paść okrzyk zgrozy, że aż ścianki sali
Drgały jak żagle. Już tumult się wszczynął.
Wstawano z ławek. Niektórzy pytali:
«Co? Co on gada? Kryminal!»

DCN

Przez otwarte okno zaleciała woń skoszonej trawy.
Waliński poruszył nozdrzami, obejrzał się na okno.

— Takie podle, groszowe natury!—mruknął i znowu zaczął chodzić po pokoju.

— Tylko ty, proszę, nie bruźdź nam w interesach—mówił do Anny. Co będzie można, ja sam zrobię. W twoich projektach, mówiąc między nami, sensu niewiele. Gospodarka to nie babska rzecz! to trochę trudniejsza sprawa, niż się tobie zdaje.

Przypomniał Fochta... Rajkiszki... Splunął przez zęby na dywan.

— Ludzie z nauką, z energją, giną dziś na majątkach, a cóż ty? Zmarnujesz wszystko do reszty, a za parę lat nawet kilku tysięcy uratować nie będziesz mogła... No, co? Zgadzasz się?

Stanął za jej krzesłem, pocałował w głowę i odszedł, unikając widoku jej ślicznej twarzy; nawet pomimo egzaltacji i śmiesznego zapału, była dla niego bardzo niebezpieczną.

— Przyjadę tu na twoje wesele—dodał z pośpiechem, jakby się bał, żeby pocałunku nie wzięła za dowód żywszego uczucia. Bierz tego Fryda! Będiesz miała tytuł i miliony... tys do tego stworzona! Ja, gdybym miał miliony... nawet i wówczas nie śmiałbym marzyć o tak pięknej, jak ty, kobiecie. Radzę, jak rodzonej siostrze, korzystaj z czasu, jeszcze lat parę, a będzie już może zapóźno.

Zajęty własnymi słowami, nie zauważył, że Anna wstała i wyszła z pokoju.

— Obraziła się na mnie?—spytał Jedlińskiej.

— Za co? Radzić wolno każdemu, jak również wolno najrozumnijszym rad nie słuchać.

Waliński pchrzucił ramionami. Stała mu znów w myślach ferma Fochta.

— Dziwaczka! Zkąd jej się to wzięło?—mruknął, chodząc po pokoju.

W sypialni panna służąca spuściła rolety, zapaliła świece na toalecie, a zarzuciwszy batystowy penioar na ramiona Anny, zaczęła rozczesywać pyszne, złociste włosy.

Anna uśmiechała się złośliwie. Waliński wzmianką o tytułach i milionach zmroził w niej rozrzewnienie.

Dawniej, kiedy jeszcze czuła gwałtowniej, a nie umiała panować nad oburzeniem, wybuchała gniewem, gdy jej stręczono świetne partje! Od czasu, jak wyrosła na bardzo piękną pannę, stała się zarazem towarem, który usiłowano zbyć jak najkorzystniej. Oglądali ją w salonach, na ulicy, w kościele; widziała dokoła siebie pożądliwe oczy mężczyzn, słyszała pochlebstwa, zachwyty, wielu z nich nie znała wcale, z innymi zaledwo kilka słów zamieniła, a dowody drapieżnego uwielbienia odbierała przy każdej sposobności, rozszarpałiby ją, gdyby mogli! Tak jej się zdawało, gdy patrzyła na błyszczące oczy, drgające nozdrza, na uśmiechy uprzejme niby, a tak idjotyczne zarazem.

— Każda piękna kobieta budzi zachwyt—tłumaczyła jej matka i udawała, że tylko zachwyt widzi. Nie trzeba tego traktować poważnie; z tłumu wielbicieli zaledwo dwóch, trzech ma poważne zamiary; bądź mądrą i zrób dobry wybór.

Już wówczas nie miała serca zbyt stanowczo występować przeciwko przekonaniom matki—wiedziała, co znaczy «dobry wybór».

Uczyli ją porządnie od lat najmłodszych. W domu widziała niezbyt harmonijne pożycie rodziców. Przyglądała się i przysłuchiwała ciągłym kłopotom finansowym. Ojciec wiekuiście zafrasowany, w ciągłych projektach, które miały mu dać miliony, a tymczasem pochłaniały tysiące, pożyczane na lichwiarskie procenty—rachunki, cyfry, narzekanie na ciężkie czasy, obijały się o jej uszy codzień—zmuszały do poważnego myślenia. Ciotka Regina, rozumna, wytrwała, nowy świat pracy i uczyć przed nią stworzyła. Książki dokonały reszty.

Taką rozbudzoną, pełną śmiałych projektów dziewczynę, ufryzowaną, wygorsowaną na pierwszy bal powieźli.

Śmiała się na głos, gdy powróciwszy, zestawiała siebie taką, jaką jest w istocie, z tem, co słyszała i do czego ją przeznaczano.

Rozdźwięk ten dotąd nie ustął ani na chwilę. W duszy żyło i wzmagало się pragnienie pracy rozumnej, użytecznej, fanatyczne przywiązanie do swego kawałka ziemi; w życiu wymagano od niej biernej dobroci i uprzejmego posłuszeństwa. Zachwycono się przesłicznym ciałem, a jej nie wypadało rozumieć, że widzi w tem cynizm i nic więcej.

Wszystko, co ma w sercu i głowie, to mrzonki—dla swego otoczenia jest tylko piękną kobietą—własnością publiczną... wprawdzie do pewnych granic tylko!...

— Jakie to szczęście, że kobiety w hołdach znajdują rozkosz! Ile ciężkich upokorzeń musiałyby przeżywać, gdyby dumę i godność miały w duszy, a nie w ruchach i w postawie jedynie!

W ostatnich czasach zobojeźniała na wiele rzeczy, które ją dawniej otaczały. Należało myśleć o Gródku i o matce. Wątpiła, wypieszczona kobieta wymagała serca i wygód.

— Ja jej to dam!

Dziwna rzecz—w swoim krótkim życiu zawsze się kimś opiekowała i zawsze się jej obawiano, więcej może niż kochano.

Matkę zasłaniała zwykle od szorstkich wymówek ojca, który liczył się z jej prostym, szczerym, ale bardzo stanowczym charakterem; męża długi czas ochraniała od głupich i zgubnych wpływów Bronki, aż przyszła pokusa, która całą jej robotę zniszczyła w oka mgnieniu!

— Co on tam robi?

Od Bronki miała list tego lata — tryumfujący! Brat zajmuje dotąd taką samą posadę, jaką w Warszawie zajmował, ale wkrótce ma zostać dyrektorem, tymczasem zaś ona przyjaźni się z gubernatorową i uczy się jeździć konno, gdyż wszystkie damy «w ich» kółku konno jeżdżą...

Mąż zgadza się na rozwód, gotów nawet «pewne» koszta ponieść, o czem zresztą pisze bardzo oględnie, żeby się nie zagalopować zbyt; liczy może, że ona w tej kwestji będzie więcej zainteresowana!

Wzruszyła ramionami.

Na dnie duszy tkwiła ambicyjka silniejsza może od wielu innych, a mianowicie—zdobycie niezależności własną pracą! Gdyby teraz ze średniego bytu przeszła do świetnego, za pomocą małżeństwa, ludzieby jej zazdrościli, ona—nawet kochając męża—czułaby się trochę upokorzona... zwątpiłaby o swoim charakterze. Kto wie? może ona istotnie tylko mówić umie z zapalem... a kiedy zdarza się sposobność do działania, zmyka do sypialni małżeńskiej, zasłaniając się miłością? Kto wie?

— Niema obawy! tak dużo wymagam, a tak mało mogę otrzymać, że—niema obawy!

Pamięta dobrze, jak stopniowo gasła jej miłość dla męża, jak strasznie było z nim nudno i smutno! Drobiazgowy filister, pyszny ze swej posady, lubił drwić z jej «uczoności», a kończył zawsze frazesem, że pieniądze, wydane na naukę, lepiejby zrobili rodzice, żeby w posagu jej dali. Pysnił się natomiast jej urodą i, pomimo skąpstwa, woził na koncerty i do teatru, żeby wzbudzać zazdrość; sam to jej nieraz w swej głupocie opowiadał.

Młody, ciekawy umysł rwał się do wszystkiego, co mądre i piękne. Świat, życie, dusza... wiekiście zagadki, zajmowały ją, zaciekawiały... żyła przecież wśród różnorodnych prądów, ocierała się o nędzę. Patrzyła na straszne borykanie się z losem, z niesprawiedliwością, na bezprawie i spodlenie, na stopniowe zasklepianie się w ciasnej skorupie ślimaczej!

Patrzyła, słuchała, cierpiała zresztą i rozważała, ale pomimo to powinna była pozostać tylko piękną, pełną wdzięku i biernie dobrą kobietą!

— Miłość powinna była mi wystarczyć? Ależ on był i głupszy i gorszy odemnie, więc cóż w nim miałam kochać? Umiejętność budowania mostów? On kochał moją urodę, ja szukałam szlachetnej duszy, więcej może niż ukształconego umysłu... a co znalazłam? Płytkiego cynika, który, kochając mnie po swojemu, przy każdej sposobności przypominał mi, że jestem tylko ponętą samiczką?

— Gdybym miała dzieci?... Po co? Czy istotnie każda z nas powinna mieć dzieci, dużo dzieci? Czy ten drobiazg wymierający setkami nie jest dowodem, że już dziś ludzi rodzi się za dużo? Kto kiedy rozmawiał z naturą, kto zbadał jej plany w przyszłości? Czy ten prąd sa-

modzielnej pracy, wyższej nauki, który objął świat cały, powstał z powietrza... ni z tego ni z owego... bez podstawy, bez celu? Trzebaż coś dać bezdzietnej kobiecie, która podobać się może tylko lat kilka, a żyć musi lat kilkudziesiąt... A zresztą, w tem skomplikowanym życiu, wśród zwątpień, poronionych porywów, apatii i trującego pesymizmu, co ta bierna instynktowa dobroć poradzi? Kto ma zdrowie, siły i rozum powinien żyć i pracować, jak umie i może! To takie proste, i zdaje się nawet... uczciwe, więc czegoż chcą odemnie? Zameczę się pracą, zamiast być «ozdobą» życia człowieka, który raczy ożenić się ze mną? A jeżeli ja wolę zameczyć się, niż być ozdobą, czy mnie nie wolno? Dlaczego? Nie będę mieć dzieci? Po co my się troszczymy o los ludzi, których nigdy nie będzie na świecie? Czy nie należałoby raczej żyjącymi już zająć się troskliwiej?

— Niech-no oni raz jeszcze napomkną, że stworzona do miłości jedynie... to dalibóg... fi, zaczynam już zaklinać się jak ekonom, chociaż nie wiem jeszcze, czy będę ekonomem w moim własnym majątku!... Mój szanowny stryj, znakomity uczonec, o tak blahych sprawach nawet mówić nie raczy... Mój kochany kuzynek swoje interesy prowadzi kiepsko i rad byłby jak najprędzej pozbyć się cudzych kłopotów; ja mam wyjść za Fryda, mam się zaaklimatyzować w obcym mieście, a Gródek niech djabli biorą. Nie pierwszy i nie ostatni, a pomimo to świat się nie skończył. Mój drugi mąż nie zechce ryzykować kapitału na ratowanie tam jakiegoś kawałka ziemi, na który mój pierwszy mąż grosza dać nie chciał. Ale co to mnie obchodzić może? Będę miała byt i miłość, reszta nie moja rzecz!

Przejrzała się w lustrze: miała czarną koronkową suknię; we włosy, ułożone misternie, wpięła szyldkretową strzałę.

— Mało jest kobiet piękniejszych odemnie, ale też uroda była mi tylko powodem przykrości i zawodów... Dotąd nic więcej jej nie zawdzięczam!

DCN

Z NAD SEKWANY.

Paryż, 4 października.

[Z Sali depesz nowego pisma, p. t. «La Politique Coloniale». Pójdziemy do Madagaskaru! P. Le Myre de Villers. Potrzeba zagranicznej dywersji. Zapowiedź chłopskiego ruchu socjalistycznego. Na łonie demokracji. Obiad u konsjerżów. Rozruchy na południu. Wołanie o *circenses*! Rząd nad rządem. Królowa «Opinja». Jeszcze o kryzysie teatralnym. Wiktor Koning. Demokracja i germanizacja. Teatry i kawiarnie. Restauracje i knajpy. Muzyk Chabrier. Wystawa książkowa].

Przechodząc wczoraj ulicą St-Honoré, w jednej z najruchliwszych dzielnic miasta, zauważyłem przy rogu ulicy Cambon nowy dla mnie w tym poufałym kącie sklep czy zakład, ze zwyczajnym dokoła niego natłokiem ciekawych. Zbliżywszy się, wyczytałem na szyldzie: «La Politique Coloniale. Salle des Dépêches». Za przykładem «Figara», który, jeżeli się nie mylę, pierwszy dał tutaj początek urządzeniom tego rodzaju, wszystkie główne redakcje dzienników mają obecnie swoje *salle depesz*, odznaczające się naogół tym rysem wspólnym, że w nich nikt depesz nie wysyła, ani też nie odbiera. Widać tam pospolicie fotografie wielkich ludzi bieżącej chwili (*hommes du jour*), ryciny, przedstawiające obraz ostatniej katastrofy kolejowej, mniej lub więcej autentyczne kawałki bomb rawaszołowych, i inne, tym podobne *aktualności*. Sala depesz nowego pisma periodycznego, poświęconego polityce kolonialnej, wygląda na małe muzeum etnograficzne, ze zbiorem egzotycznych strojów i uzbrojeń, z wizerunkami główniejszych podróżników (nie dostrzegłem między nimi naszego dzielnego Dybowskiego) i t. d. Nie masz tam nic bardzo osobliwego, a główną przynętę, *great attraction*, nowego miejsca stanowić się zdaje *teatrofon*, którego związek z polityką kolonialną nie został mi dostatecznie wytłómaczony, a którego stałą klientelę składają, jak się patrzy, dorożkarze i inni furmani, oczekujący przed drzwiami sąsiedniej restauracji «Voisin». Ale swoją drogą uderzyło mnie to niespodziane zjawisko, jako niezawodna wskazówka bardzo silnego naprężenia umysłowego w tym kierunku.

Jakoż gotujemy się tu pocichu do nowej afrykańskiej wyprawy, w której bodaj czy generał Dodds nie będzie miał jeszcze więcej roboty, niż w tak świetnie

zakończonych walce z Behanzinem. Podróż pana Le Myre de Villers do Madagaskaru ułożono tak, iżby pierwsze jego doniesienia z Tananariwy znalazły już izby na swoim miejscu. Sam zaś wybór tego dyplomatycznego agenta świadczy, iż zamierzono postawić kwestję na ostrzu miecza. P. Le Myre de Villers był niegdyś gubernatorem w Indo-Chinach. Nie wiem zaś czy przypominają sobie czytelnicy, w jaki sposób opuścił on to stanowisko. Na skutek nie pamiętam już czyjej interpelacji w izbach, wyznaczoną wtedy została komisja parlamentarna, dla rozpatrzenia czynności pana de Villers. Panowie komisarze, przybywszy do portu Saigonskiego, wysłali do gubernatora z żądaniem warty honorowej, któraby ich na brzeg odprowadziła. Gubernator wysłał sierżanta i trzech *marsouins'ów* (tak nazywają żołnierzy, służących w piechocie morskiej) z zawiadomieniem, że jeżeli panowie komisarze nogę postawią na łądzie oddanym pod zarząd gubernatorowi, gubernator każe ich związać jak baranów i w tym stanie odstawić do najbliższego portu, nie podlegającego jego zwierzchności. Nie dając sobie powtarzać dwa razy tak katerycznego *ultimatum*, przybywszy z powrotem do Marsylii, a ten sam statek powiózł w tą stronę dymisję pana gubernatora. Karjera pana Le Myre de Villers, młodego jeszcze wówczas, czterdziestokilkoletniego człowieka, zdawała się od tej pory skończoną, przynajmniej pod rządami łaskawie nam panującą parlamentarnej Rzeczypospolitej. Aliści były gubernator sam dostał się do parlamentu, co nie pozwoliło nowym jego kolegom zachować dawnej urywki w zbyt świeżej pamięci. Przytem jest to człowiek nie do zastąpienia w pewnych przypadkach. Długi pobyt na Wschodzie nadał samej jego twarzy coś egzotycznego. Była to niegdyś piękna twarz żołnierska, o rysach pełnych inteligencji i energii. Dziś, rzekłbyś, lew w tygrysa się zamienił, z jakimś nowym wyrazem kociej przebiegłości w zapadłych głęboko oczach. Ale oczy te błyszczą zawsze stalowym połyskiem, a w uścisku żyłastej ręki czuć ostrze twardych pazurów. Człowiek ten, bardzo wszechstronnie wykształcony, należy zresztą do najprzyjemniejszych w towarzystwie, i, co chyba tylko u francuza trafić się może, do salonowców najwykwintniejszych. Podczas pobytu w stolicy zobaczysz go każdego wieczora we fraku i w białym krawacie, ale po północy, do domu wróciwszy, gotów na każde zawołanie zamienić frak na wyszarzany strój podróżny, i przed świtem ruszyć w drogę — do Saïgonu, czy do Tananariwy. Nadmienić godzi się, że za ostatnią swoją wycieczkę do Indo-Chin, w charakterze plenipotenty do układów ze Siamem, nie otrzymał on i nie żądał żadnego wynagrodzenia, po za kosztami podróży. Zona, nieco od niego młodsza i ślady piękności zachowująca, towarzyszy mu czasem w tych często powtarzanych wyprawach. Naogół osobistość bardzo sympatyczna, ale jedna z tych, o których można powiedzieć, naśladując Fryderyka W., że lepiej ją mieć obok siebie, niż naprzeciwko.

Pójdziemy tedy do Tananariwy (do Berlina nie mogąc), tak jak poszliśmy do Abomeju. Pójdziemy, choćby dlatego, że polityczne i społeczne życie nasze tutejsze z trudnością obejść się może bez podobnych zagranicznych dywersyj. Wszakże we wczorajszym wstępnym artykule, «Figara» p. Julusz Simon grozi nam nie czem innym tylko powrotem chłopskich *zakierj* z XIV wieku, na tle socjalistycznym. Osobiście trudno mi trochę o wielki strach wobec tej groźby! W dzisiejszych stosunkach, rozumiałbym bunt szlachty, wywłaszczonej przed stu już laty, przeciwko dzisiejszym posiadaczom rozkawałkowanej ziemi, którymi to posiadaczami są właśnie chłopci, w liczbie kilkunastu milionów. Ale naodwrot? Dlaczego? O co? Może jednak p. Julusz Simon widzi to lepiej. Im więcej rozglądam się sam w tutejszem społeczeństwie, tem mniej widzę możność dla kogokolwiek dopominania się o coś od kogokolwiek. Wychodząc wczoraj wieczorem z domu przy bulwarze Haussmann, zobaczyłem, na stole wykwinie nakrytym, resztki wspaniałego bankietu. Kwiaty wędły pośrodku okazałej srebrnej zastawy. W rogu jadalni porachowałem *ośmnaście* próżnych butelek szampana. Właśnie byłem spożył dosyć lichy obiad; więc ckiwó mi się trochę zrobiło narazie, i w pustym moim żołądku powstało buntownicze usposobienie. Ale — był to bankiet u *konsjerżów* domu tego, w którym częstym jestem gościem, i równie często spotykam podobne widowisko. Tym razem dwóch lokajów, pod kierunkiem wyfrakowanego *maitre d'hôtel'a* (*sic!*) obsługiwało do stołu parterowym biesiadnikom. Ciekawym wiedzieć,

pod jakim hasłem możnaby tych zaciągnąć do jakiej *zakierji!*

Słyszę od kilku tygodni o rozruchach na południu, dość zastrasające przybierających rozmiary; ale tam chodzi całe o co innego, jak o podział ziemi, któraby już chyba na atomy dalej parcelować tutaj można. Buntownicze głosy nie wołają nawet: *panem!* a tylko: *circense!* Chodzi o prawo mordowania byków, za pomocą tortury, przeciąganej przez godzin trzy, i o wywlekanie wnętrzości koniom, w jednej z najohydniejszych zabaw, na jakie zdobyć się mogła dziecinnie rozkapryszona wyobraźnia ludzka. Zkąd wzięła się ta kwestja tutaj? Jeżeli się nie mylę, wzięła się ona ztąd, że posiadamy rząd, który, słabszym coraz i mniej pewnym siebie się stając od lat kilkunastu, w miarę mnożących się kryzysów ministerjalnych, powoli dopuścił ustanowienia nad sobą drugiego rządu, nazywanego *opinią publiczną*, a mającego to do siebie, że jego reprezentacja pozostaje czemś zagadkowym, nieuchwytnym, i ztąd niezmiernie chwiejnym w wynikających z niej orzeczeniach i wskazówkach. Mielśmy w stolicy przez lat kilka, nazajutrz po ostatniej wystawie, wspaniałe urządzone *corrida de toros*. Była to spekulacja kilku *grandów* hiszpańskich, która zamieniła się w pańską, rujnującą fantazję. Byłem zaproszony do udziału w tem przedsięwzięciu. Odpowiedziałem, że nie robię tego rodzaju interesów; dla tych panów zaś interes, o który chodzi, przedstawia mi się tak: Jeżeli uzyskają pozwolenie odprawiania hiszpańskich igrzysk po *hiszpańsku*, z całym ohydnym przyborem krwawej tragedji, będą mieć, mniej więcej, pięć szans powodzenia na sto. W przeciwnym razie, mogą pieniądze swoje uważać za stracone. Ale ci panowie nie wiedzieli wcale, czy uzyskają odnośne pozwolenie. Miało to zależeć od wyrazu *opini*. *Opinia* wyraziła się i wyrażała się do końca po swojemu, to jest bardzo niewyraźnie, i rzeczy pozostały też do końca w zawieszaniu. Za każdym przedstawieniem prefekt policji macał prasę za puls, oglądał się zkad wiatr wieje, i pozwalał, lub nie pozwalał zabijać byka. Najczęściej nie pozwalał, i jeden z przedsięwzięców opowiadał mi jak następuje (uśmiechając się zresztą z rycerskim animuszem prawdziwego *hidalga*) rezultat tej niefortunnej próby: «Dwa lata temu, ja i zona moja mieliśmy sto pięćdziesiąt tysięcy franków dochodu i ładny dom w Madrycie; dwa tygodnie temu mogłeś nas pan zobaczyć siedzących w pustym pokoju na zapakowanym kuferku, i trzymających w ręku suchy rogalik. Było to nasze ostatnie śniadanie w niegdyś naszym domu, spożywane na ostatnim spręcie, pozostałym z naszego dawnego dostatku».

Corrida de toros nie zaaklimatyzowało się w stolicy; ale ruch, rozwinięty w tym kierunku, przeniósł się na południe i, dzięki sąsiedztwu granicy hiszpańskiej, znalazł tam przyjaźniejsze warunki. Trzy tygodnie temu byłem w Bayonnie i dałem się zaciągnąć do miejscowej *areny*. Arena była pełna; w loży honorowej znajdował się mer, podprefekt i sztab eskadry, manewrującej opodal na wodach Atlantyku. Pierwszy *spada* prosił o pozwolenie zabicia pierwszego byka, mer kiwnął głową, podprefekt się nie ruszył, i widowisko poszło swoim trybem. Padło 6 byków i ośmnaście koni. To samo powtarzało się jednocześnie w Dax, w Nimes, w dziesięciu innych pogranicznych miejscowościach. Aliści *opinja*, sympatyzująca oczywiście z krwawymi igrzyskami na południu, obruszyła się na północy; pani *Severine* wydrukowała kilka piorunujących artykułów w dziennikach stołecznych; jeden *rsąd* przestraszył się drugiego *rsądu*, prefekci i podprefekci południowych departamentów otrzymali rozkaz zabronienia tego, co pozwalali dotąd, i — mamy coś prawie podobnego do rewolucji w Nimes.

W sprawie nierównie ważniejszej, w sprawie kontyngensu wojennego na rok bieżący, coś zupełnie podobnego zdarzyło się miesiąc temu z rozporządzeniami ministra wojny, wydanymi dziś, odwołanymi jutro, na rzekomy rozkaz *opini*. Chodziło tym razem o 24,000 ludzi i o dwanaście milionów!

Ze świata literacko-artystycznego chyba o pogrzechach miałbym do doniesienia. Umarł Wiktor Koning, jeden z filarów sceny tutejszej, o której krytycznym stanie pisałem ostatnią pocztą, jeden z najszcześniejszych przez długie lata impresarjów stołecznych, dyrektor teatru «Gymnase», w epoce pięciuset przedstawień Ohnetowskiego «*Maitre des Forges*». Powalił się pod brzemieniem ogólnej ruiny. Przed śmiercią jeszcze stracił najpierw majątek a potem zmysły. Odebrałem wczoraj zaproszenie

do abonamentu na przedstawienia tego samego teatru «Gymnase», połączonego z «Vaudeville» pod jedną dyrekcją. Już samo rozesłanie tego cyrkularza, niepraktykowane dotąd, świadczy o doniosłości kryzysu. Faktem jest, że sceny teatralne wszelakie, zwłaszcza sceny o lżejszym repertuarze, nie wytrzymują konkurencji kawiarni koncertowych. Rezultat i to demokratyzowania się i germanizowania się naszego w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Tak samo piwiarnie i knajpy niemieckiego autoramentu rugują wszędzie dawne wykwinne restauracje. Powtarza się to i na prowincji. Wracając z Bayonne, zaszedłem w Bordeaux do znajomej mi, najlepszej w mieście jadalni. Zobaczyłem ze zdziwieniem wszystkie stoły puste. «*Il ne vient plus personne — objaśnił mnie garson — tout le monde va chez les marchands de vin.*» Jeden z petersburskich restauratorów, p. Cubat, podobno przynosi się tu do nas, na Pola Elizejskie, do byłego słynnego pałacu słynnej hrabiny Henkel de Donnersmark (eks pani de Paiva), o onyksowych schodach. Ma to być zakład arcywykwintny i arystokratyczny, na wzór londyńskiego «Savoy-Hotel». Damy z wielkiego świata mają tam zasiadać do stołu w wygorsowanych toaletach. Radzę panu Cubat, aby się porozumiał z księciem de Sagan; poczem wróże mu sześć miesięcy powodzenia, i życzę aby zrobił majątek w tym terminie, bo potem będzie zapóźno.

Zmarł także temi dniami młody jeszcze muzyk, Chabrier, autor «*Gwendoliny*», która, tułając się długo po scenach zagranicznych, nareszcie ukazać się miała w tu-tejszej Operze; autor także opery «*Le Roi malgré lui*», wystawiającej krótkie panowanie Henryka III nad Wisłą, której drugie przedstawienie w Operze komicznej poprzedziło pożar tego teatru. Ten Waleczus nigdy nie miał szczęścia.

Poszedłem szukać książek na otwartej w Pałacu przemysłu *Exposition du Livre*—i znalazłem bardzo ciekawą wystawę przyrządów kuchennych, dalej rząd dość eleganckich powozów ostatniego fasonu, umywalnie nowej konstrukcji i, nie pamiętam już co jeszcze. Podobno są i książki, gdzieś na górze, ale nie zdążyłem zająć tak wysoko.

Paris.

FLORENCKIE ECHA.

IV.

...«O Schmerz, bist du wahr!»
Lenau.

Ramię twe widzę o okno oparte,
Przez które do nas gwiazdzistość szła nocy,
I słowa słyszę, i kładę w tę kartę,
Jak posiew mocy.

— Zaprawdę mówię, w łzach twoich jest życie,
A w twym zwątpieniu—strzelistość jest wiary,
A w buncie twoim—szum skrzydeł i wzbicie
Nad poziom szary!

— Zaprawdę mówię, że ból twój cię nosi
W cichem powietrzu, nad bagna żywota,
I żeś jak trawa, gdy świt ją zarosi,
Srebrna i złota!

— Zaprawdę mówię, że smętność oczynia
Wzrok twój czarami, iż widzisz jak bucha
Kwieciem, tam ziemia, gdzie dziś jest pustynia
Czasów i ducha!

— Zaprawdę mówię, że w twojej goryczy
Jest zaczyn miodu na nowy plastr w ulu!
Bowień świat w blaskach uśmiechu zwodniczy,
Prawdą jest w bólu!

V.

...«Andiam! ché la via lunga ne sospigne!»
Dante r. IV.

Czy to już gwiazda zaranna dnieje,
Na tem tokańskim niebie?
Czy też mi w duszy wschodzą nadzieje,
Nadzieje wzięte z ciebie?

Stoję i słucham, jak wieszczka cicha,
Serce mi w brzask kołysze,
I niby cieszy, i niby wzdycha,
Zaczarowana w ciszę.

— Jeszcze my będziemy razem chadzali,
Pieśniarze duchem prości,
Od tych miesięcznych tumanów biali,
A czarni od złości.

Jeszcze my pójdziem tą drogą kmiecią,
Pomiędzy siól opiotki,
Czyści, że przez nas gwiazdy aż świecą,
A drżący jak polotki...

Jeszcze my będziemy rzucali ziarno,
Gorzyczne ziarno cudu,
Co drzewem wzrosnie nad ziemią czarną,
Nad ziemią lez i trudu.

I będą na niem miały spocznienie
Tułacze rzesze ptasze,
I dusze w znoju znajdą tam cienie,
I pieśni znajdą nasze.

I tak zajdziemy—pielgrzymy boże—
Na drogę gdzieś rozjemną,
Ty się obrócisz na jasne zorze,
A ja na nockę ciemną!

Marja Konopnicka.

PRACZKA KSIĘŻNĄ

(Madame Sans Gêne).

ROMANS Z CZASÓW REWOLUCJI I CESARSTWA.

Przez

20)

EDMUNDA LEPELLETIER.

XXIV.

U BARRASA.

W Luksemburgu, gdy do niego przybyła Józefina de Beauharnais, odbywała się uroczystość. Wdowa ubrała się wykwinnie, według ostatniej mody, lekko, obłoczysto, w muszliny prawie przezryste, dające dostrzedz matowe ciało. Szło nietylko o spodobanie się Barrasowi, ale o zaćmienie wszystkich piękności, postrojonych różowo, biało, błękitno, po grecku, po rzymsku, jak Djany, jak Terpsychory. Zebrana była w salonach Barrasa cała mitologia Olimpu. Józefinie szło wiele teraz o opinię modnej kobiety, do której się zalecają, której poszukują. W istocie krok, jaki robiła, i rada, jakiej szukała u świetnego dyrektora, była tylko pretekstem; chodziło jej głównie o to, by widziano, że ubiega się o nią osobistość, wprawdzie nowa, ale na którą świat poczynął już zwracać powszechną uwagę. Chciała więc pokazać swym rywalkom zakochanego Napoleona, jako nieznaną ozdobę, jako klejnot nieco dziki, ale kosztowny, i pragnęła powiedzieć Barrasowi, że jego kolega w dowództwie armją wewnętrzną, jego zastępca w dniu vendemia, którego miecz zwycięzki miał w przyszłości tyle zaważyć, uwielbia ją i ofiarował jej swą rękę.

Byłaż to kokieterja czy szyderstwo? Historycznie biorąc, Józefina nie była kochanką Barrasa. W rzeczy samej w odtworzonym nanowo buduarze, w poetycznej ozdobie sylfid i nimf malowanych przez Prudhona, była ona jednogodzinną sułtanką Barrasa, tego demokratycznego baszy z pospolitą twarzą żołdaka, mającego pretensje do elegancji wykwinnej doby rejencji. Żadna kobieta nie była w stanie oprzeć się temu pożeraczowi serc. Jego życie pełnem było przygód miłosnych. Ten rewolucjonista był arystokratą z urodzenia, panem w czapce czerwonej, hrabią Pawłem de Barras. Południowiec, urodzony w Fox-Emphoux, w kantonie Var, kapitan w wojsku królewskim, członek konwencji, królobójca, prezydent straszliwego zgromadzenia, obdarzony dowództwem naczelnem w dniu 9 thermidora i 13 vendemia, został wybrany członkiem dyrektorjatu, 129 głosami na 218. Jak wiadomo, dyrektorjat składał się z 5 członków, mianowanych przez radę starszych z listy 50 członków, przedstawionych przez zgromadzenie pięciuset. Kolegami jego byli Larevelliere-Lépeaux, wybrany 216 głosami, Resobell, Letourneur i Carnot. Ostatni z nich, Barras wysunął się naprzód i rządził właściwie dyrektorjatem. Był on wysoki, tegi, z twarzą chłopca obdarzonego zaszczytami; pod pysznym płaszczem dyrektorskim zachowywał obyczaje i wzięcie się Don Juana koszarowego. Jego koledzy pracowici jak Letourneur, surowi jak Car-

not i Resobell, zapaleni, uczciwi, ale mało pokaźni, jak niekształtny Larevelliere-Lépeaux, nie reprezentowali władzy błyszczącej, teatralnej, świetnej, jakiej pragnęli ówczesni francuzi, zatusznieni za obyczajami i blaskiem dawnego rządu.

Barras przez swą postawę, przez sposób, w jaki nosił głowę, wśród pochlebców wszelkiego rodzaju i pochodzenia, przez gest z jakim podnosił kapelusz z potrójnym piórem białym, przez swobodę żołnierską z jaką stąpał po posadzce Luksemburgu, po której dzwonił swą krzywą szablą w pochwie zielonej, uosabiał dla tłumu, znów służalczego, blask majestatu królewskiego, bez monarchji jednak. Ten Ludwik XIV pulku gwardji był monarchem rzeczypospolitej. Wszystko mu pomagało, a nadewszystko jego występki. Jego metresy były jego gwardją przyboczną, świetną, błyszczącą, zalotną. Wydawał liczne bale, a lud nie czynił mu z tego powodu żadnych wyrzutów. Kończyły się dni strasznych bojów, postu długiego; wszystkie klasy społeczne pragnęły tylko takiego rządu, któryby dozwolił żyć spokojnie i używać. Gilotyna, okropne uroczystości uliczne, ludzie w czerwonych czapkach i kubrakach, furje gilotyny ubrane w chustki, przypominające obrzydłą twarz Marata, zbytek wygnany, miłość podejrzana, sztuka wypędzona zagranicę, wszystko to było teraz snem tylko. Budzono się radośnie, w upojeniu, rzucano się w otchłań uciech. Obiady, wycieczki wiejskie, wino rozlewane wśród wesolego towarzystwa i pięknych dziewcząt na pół obnażonych, róże któremi stół zdobiono, a nadewszystko powozy, jakby wydobyte ze stajni Plutona, nadawały tej dziwnej epoce wygląd szczególny, barwę niezwykłą i nową.

Barras uosabiał przepyszenie tę epokę szaleństw, namiętności i siły, ze swą rozpustą i swą inteligencją. Przywrócił porządek na ulicy i przyjemności w towarzystwie. Cóż więc dziwnego, że wszystkie kobiety szalały za nim? Przytem bardzo rozrzutny, siejąc złotem w domu gry w Palais-Royal, współcześnie garściami ciskał ludwicy młodym pięknościom, kometom cisnącym się do tego nowego słońca. Pani Cabarras była jednak najulubieńszą odaliską. Ta zalotnica intrygantka, która odepchnęła od siebie obrzydłego Talliena w chwili, gdy go już nie potrzebowała, nietylko była metresą z tytułu, ale była zarazem spółniczką Barrasa. Ona to była główną dźwignią społecznego zepsucia. Pomagała ona rozpustnemu dyrektorowi zagrzebywać rewolucję pod kwiatami i, po rozpuszczeniu krwi i miecza, wprowadziła rozpustę cielesną.

Pewnego wieczoru u Barrasa zgromadziło się wszystko, co ówczesna społeczność posiadała wykwiśniętego, wszelka dystynkcja, wszelki występki, cnota i chwala. Młodzi jenerałowie, starzy deputowani, kobiety, noszące w brelokach pukle włosów kochanków, braci lub narzeczonych, ucięte w chwili gdy Samson owładał ich głowami, dostawcy nadziani bardziej złotem niż dawniej, eleganci o szerokich krawatach muszlinowych, panie Angot błyszczące klejnotami, uczeni, pisarze: Monge, Laplace, Volney, tłoczyli się w salonach Luksemburgu, szczęśliwi, że żyją, żądni odzyskania utraconych godzin, obojętni na przyszłość, mówiący sobie z uśmiechem szyderskim: «było to tylko trwało!» W głębi, gdzieś w cieniu, Talleyrand, który powrócił z Ameryki, szydził z tego społeczeństwa rozkładającego się i unosił się nad niem jak sęp nad padliną.

Gdy Józefina uwiadomiła Barrasa, że chce się z nim rozmówić na osobności, zaraz wprowadzono ją do saloniku, leżącego tuż przy gabinecie dyrektora. Zaczekała tu chwilę; drzwi były przyknięte i w pokoju sąsiednim rozlegały się głosy. Usłyszała taką rozmowę:

— Dlaczego podejrzewasz Bonapartego? — mówił Barras, którego dźwięczny głos poznała od razu Józefina — jest to człowiek taki, jakiego nam potrzeba.

— Sądę, że jest ambitny — odrzekła osoba, z którą Barras rozmawiał.

— A ty nim nie jesteś, Carnocie? — spytał dyrektor. Bądź więc szczerym, zazdrościsz Bonapartemu! Plan, jaki wymyślił dla armji włoskiej, zniszczyłeś, nie przedstawiając go dyrektorjatowi, lękając się, by chwala z tryumfów naszej armji nie przypadła tobie.

— Nie znam tego planu — odrzekł dyrektor Carnot. Przysięgam, że go nie widział...

— Nie podnoś ręki! — zawołał gwałtownie Barras. Pocięknij z niej krew!

— A! więc wyrzucasz mi ty, że podpisywałem wyroki śmierci?

— Wszystkie wyroki śmierci... tak, podpisywałem je razem z Robespierrem.

— Podpisywałem je nie czytając, tak, jak Robespierre podpisywał moje plany wojenne, nie patrząc na nie wcale. Każdy z nas służył, jak umiał, rewolucji, przyszłość nas osądzi!

— Idź precz, złopaczu krwi! — zawołał Barras.

— Bądź zdrow, pijaku złota i rozpusty! — odrzekł Carnot. Powtarzam ci, lękam się ambicji Bonapartego, ale nie opieram się wcale temu, byś go mianował jenerałem we Włoszech. Zresztą i on także był terrorystą, protegowanym jakobinów, królobójcą, tak jak ja i ty. Wynagradzaj go, jak chcesz, ale nie sądź, by jego zamiary były tak cnotliwe, jak się tobie zdaje. Dnia 13 vendemia nie zbawił on Rzymu, ale Byzancję...

I dawny członek komitetu ocalenia publicznego wyszedł, zatraskując z gwałtownością drzwi za sobą. Barras, podniósłszy zasłonę, stanął uśmiechnięty przed Józefiną i rzekł:

— Cóż za szczęśliwy wypadek zmusza cię, piękna hrabino, do tajemnej schadzki ze mną i czemu zawdzięczam to miłe spotkanie?

W gruncie rzeczy Barras był niespokojny. Nie gardził on wcale łaskami przelotnymi czarującej kreolki, ale nie chciał wcale odnawiać stosunków, które z obu stron miały charakter chwilowy i przypadkowy. Józefina, zawsze potrzebująca pieniędzy, bez podpory, bez stosunków, szczęśliwą była, że mogła na chwilę przyczepić się do tego zwycięzcy thermidora, byłego szlachcica, wspaniałego, przyjemnego, który mógł jej dopomóc, jeżeli nie stale, to przynajmniej w razie trudności jakichkolwiek. On zaś, pragnący jak najprędzej odżywić tradycje dawnego rządu, czuł pewną satysfakcję, że miał kochankę arystokratyczną, wdowę po prezydencie konstytuancy, po wozu naczelnym sławnej armji nadreńskiej. Ale teraz pozostały tylko wspomnienia związku bardzo przyjemnego i woń rozkoszy, która minęła.

Józefina, nieco zmieszana, objawiła mu powód swego przybycia:

— Chciałabym znowu poszła za męża, panie dyrektorze. Co myślisz o tem?

— Co myślisz? ależ uszczęśliwisz tego kogoś! Czy mogę wiedzieć, kto jest tym szczęśliwcem?

— Znasz go, Barrasie! to jenerał z vendemia — odrzekła z uśmiechem Józefina.

— Bonaparte? Ten chłopiec ma przyszłość przed sobą. Wyborny artylerzysta. Gdybyś go pani widziała, tak jak ja, na koniu, na ulicy Delfina, rycującego swe działa na spiskowców na schody św. Rocha, to przekonałabyś się, że taki dzielny człowiek będzie doskonałym mężem... Tak! tak! jest on bardzo odważny. Byłem tuż przy nim, a spiskowcy pluli aż miło!

— Jest on dobry — mówiła Józefina. Chce być ojcem sierot Aleksandra Beauharnais i mężem jego wdowy.

— To bardzo chwalebne, ale czy pani go kocha?

— Będę otwartą z tobą, Barrasie; nie, nie kocham go... miłością...

— Czyżbyś miała do niego wstręt? Do diabła, nie ma on, co prawda, postawy...

— Nie mam do niego wstrętu, ale też nie budzi on we mnie żądzy; jestem obojętną, a taki stan ludzkiej namiętności (wiesz, że w Martynice wszyscy są religijni) nazywają najgorszym stanem duszy.

— Gdy się mówi o małżeństwie, to przedewszystkiem trzeba mieć na względzie ciało.

— Miłość jest także cziłą pewną, Barrasie. Wymaga ona wiary. Potrzeba rady, zaleceń, by uwierzyć, że ona jest gorącą. Dlatego to przyszłam do ciebie po radę. Wziąć na siebie stałe obowiązki, wydaje mi się czemś niemilem. Całe życie szłam zawsze za wolą innych.

— Więc chcesz, bym ci kazał zaślubić jenerała?

— Nie, tylko mi poradź. Zachwygam się odwagą Bonapartego, ocalił on towarzystwo w dniu 13 vendemia.

— Oslonił konwencję, pokonał spiskowców, którzy chcieli obalić rzeczpospolitą, i wygrał w Paryżu bitwę na ulicach, co więcej jest warte od bitwy w polu.

— Tak, to człowiek wyższy. Uznaję jego znajomość rzeczy, naukę, żywość jego umysłu, która mu dozwala odgadywać myśl innych wprzód, nim ci ją wypowiedzą, ale... przyznam się... lękam się tej żądzy władzy, jaka w nim przebiega.

— W rzeczy samej ma wejrzenie monarsze. Pierwszy raz, gdy go zobaczyłem — rzekł Barras poważnie —

byłem zdziwiony jego wyglądem. Miałem przed sobą człowieka niskiego, nadzwyczaj chudego... niby asceta, zbiegły z samotni. Włosy miał ostrzyżone dziwnie, otaczały uszy i spadały na ramiona. Nie był to nasz wykwintniś ze złotej młodzieży. Ubrany był poprostu, zapięty pod szyję, z wązkim galonem złotym na kołnierzu. U kapelusza miał pióro trojbarwiste. Na pierwsze wejście postać ta nie wydała mi się piękną, ale rysy wybitne, oko żywe i przenikliwe, gest ożywiony i gwałtowny zdradzał duszę gorącą; czoło szerokie i zamysłone świadczyło o głębokości marzeń. Mówił krótko, wyrażał się dość niepoprawnie, ale jeżeli mówi niepoprawnie, to jednak wzniosło. To mąż, Józefino! to mąż śmiały, odważny, który może jutro będzie bohaterem! Ponieważ chce cię, bierz go. Taką ci radę przyjaciel daje i wierz mi, dobry przyjaciel...

— Więc chcesz bym została jego żoną?
— Tak, a z czasem pokochasz go.
— Tak myślisz? Ja go się trochę boję...
— Nie ty sama tylko się go boisz. Wszyscy moi koledzy czują przed nim trwogę. Carnot, terrorysta, złopacz krwi, spółnik Robespiera, nienawidzi go, zazdrości mu i lęka się.

— Skoro więc przestrasza dyrektorów, osadź sam, jakie wrażenie musi wywierać na kobiety.

— Przyzwyczaisz się do niego. A zresztą, zdaje mi się, powiedziałaś, że cię kocha?

— Zdaje mi się, że się zakochał mocno we mnie, ale, Barrasie... między przyjaciółmi można to powiedzieć, że skórom przeszła już pierwszą młodość, czyż mogę mieć nadzieję zachowania na długo tej czułości gorącej, która u generała wygląda poprostu na napad szaleństwa!

— Cóż cię przyszłość obchodzi!

— A gdy się pobierzemy i gdy przestanie mię kochać, czyż nie będzie mi wyrzucał swej słabości? swych złudzeń? Czyż nie będzie żałował małżeństwa, gdy może znaleźć kobiety młodsze, świetniejsze? Cóż mu odpowiem, co zrobię! będę płakała, a on nie lubi łez...

— Nie przewiduj samych nieszczęść. Myśląc o niedoli, zadajesz sobie cierpienia. Bonaparte jest człowiekiem stworzonym dla szczęścia. Czyżbyś była przesadną? On mi zwierzył się, że ma gwiazdę, której wierzy...

— A mnie w Martynice pewna murzynka, oddająca się czarom, i której przepowiednie zawsze się sprawdzały, przepowiedziała, że będę kiedyś nosiła koronę królewską... Nie zdaje mi się, bym ja mogła z Bonapartem tron dzielić...

— Możesz z nim dzielić sławę, jaka ozdobi naczelnego wodza najpiękniejszej armii Rzeczypospolitej.

— Co to znaczy, mój Barrasie? — zapytała Józeфина zdziwiona i przypominając sobie spór z Carnotem, jaki przed chwilą słyszała, a w którym była mowa o Bonapartem.

— To znaczy, że będziesz najszczęśliwszą z kobiet, jak dziś jesteś najpiękniejszą, królową piękności naszej Rzeczypospolitej. Wyjdź za Bonapartego, a na podarek ślubny, ja, twój stary przyjaciel, przez wdzięczność dla generała, który tak pysnie przetrzepał powstańców, przesyłę ci śliczny podarunek...

— Naprawdę? i jaki?... złotą zapinkę z brylantami, taką, jaką nosi piękna pani Tallien?

— Coś lepszego, bo naczelnego dowództwo armii włoskiej! Ale tam się dziwią mej nieobecności — rzekł Barras i dodał do Józefine: podaj mi rękę i wejdźmy do salonu. Chcę pierwszy powinszować Bonapartemu tego małżeństwa i nowego dowództwa.

I Barras pociągnął za sobą wdowę Beauharnais, zdziwioną postanowieniem, jakie jej narzucono, i łaskami nieoszacowanymi wszechpotężnego dyrektora, jacykami obdarzył przyszłego jej męża. Weszli poważnie do salonów jaśniejących blaskiem, kwiatami, kobietami, wonią, uśmiechami i szmerem tysiąca głosów i tysiąca szeptów.

DN

NOTATKI O NOWYCH KSIĄŻKACH.

Wincenty Kosiakiewicz. *Bawelna, powieść. Petersburg, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, 1895, str. 307.*

Od pewnego czasu nietylko niektóre dzienniki zaopatrzyły się w stały dział łódzki, ale co chwila ukazują się prace statystyczne lub feljetonowe, zajmujące się polskim Manchesterem. Łódź wreszcie

przez p. Kosiakiewicza weszła i do naszego powieściopisarstwa. Znakomity malarz scen rodzajowych mieszkańskich pragnął w swojej powieści rzucić światło na życie i stosunki łódzkie, tak odmienne od naszych, choć na naszej ziemi wyrosłe. W dymie kominów, wśród turkotu warstatów i świstu pary odbywa się gorączkowa pogoda za złotem, pogoda wynosząca w górę nababów, a jednocześnie rozbijająca o bruk mniej szczęśliwych, lub rzucająca w rynsztoki aby nieczciwych. Delikatna roślina, przybývająca z za morza, jest błogosławieństwem i przekleństwem miasta; ona ludzi wynosi, daje im pracę, pieniądze, dostarcza chleba biednym, zbytku bogatym, ale z małym wyjątkiem paczy ich serca i sumienia, wyzwala ich z «przesądów» etycznych, każe zapominać, iż są jeszcze wyższe zadania na świecie, jak zamiana na złoto perkalów, flanel i barchanów. W ten wir pieniężno-fabrycznych interesów rzuca Kosiakiewicz swojego bohatera Rumińskiego. Ten doktor chemii, po otrzymaniu stopnia naukowego, oddał się próźniactwu i używaniu, póki starczył własny jego kapitał. Nagle zobaczywszy pustki w kieszeni, odmienił się; przemiana to zbyt gwałtowna, zbyt nieumotywowana. Tego rodzaju życie, jakie wiodł Rumiński, nie może prowadzić wprost do zerwania w jednym dniu z przeszłością. Z próźniaka, łobuza potrosze, wykwintniś, a człowieka miękkiej woli, nie robi się na drugi dzień człowiek poważny, pracowity, energiczny, nie dbający o wygodę życiową. Przy pomocy swego przyjaciela Kańskiego, Rumiński wszedł w spółkę z niejakim Steinem. Był to prawdziwy *ein Lodzermensch*: sprytny, nie przebiegający w środkach, aby dojść do celu, t. j. do milionów. Fabryka spółki szła dobrze. Jednostajne życie Rumińskiego ożywiło przybycie jego siostry Linki, świeżo wypuszczonej z pensji. Żniża Łódź, zaczyna się sprawy sercowe. Rumiński chce Linkę zeswatać z Kańskim, Linka oddaje pięknem za nadobne i swata Rumińskiego ze swoją koleżanką Andzią. Następuje kilka wybornych scen rodzajowych. Rumiński kocha Andzię, ale zdaje mu się, że jest za stary, przeżyty, broni się przed miłością dość zabawnie. Linka przyjąwszy oświadczenia Steina, wywołuje gwałtowny opór ze strony swego brata-opiekuna, uważającego swego współnika za człowieka bez wartości moralnej. Naturalnie, że wszystko dobrze się kończy, a raczej skończy, bo autor domyślać się tylko każe, że Andzia zostanie Rumińską, a Linka Kańską. W chwili zastoju interesów Stein podpala fabrykę dobrze zaasekurowaną; Rumiński przekonywa się o tem i rzeka się asekurować. Taki «jeden prawdziwie uczelwy człowiek w Łodzi» robi wrażenie. Bogacz Krotmann przychodzi kredytem w pomoc Rumińskiemu i Kańskiemu, którzy zakładają własną fabrykę. Taki jest koniec powieści. Dużo wyciągając z niej ciepła, zgrabny, a pełen prostoty dialog, wreszcie sympatyczne postacie bohaterów i bohaterki wynagradzają słabą intrygę powieściową i zbyt lekko naszkicowane tło obrazu. Tytułowa bohaterka «bawelna» schodzi na plan drugi, a zapewne w pomysł autorowi miała stać na pierwszym.

Fryderyk Masson. *Napoleon i jego kobiety. Warszawa, 1895, str. 295.*

Bonapartyzm zeszedł już z widowni świata, reszta Napoleoniów nikt się nie zajmuje, a mimo to postać wielkiego korsykanina wciąż jeszcze jest żywa w pamięci najszerzych warstw społecznych. To tłumaczy, dlaczego wszelkie studia nad epoką pierwszego cesarstwa, wszelkie pamiętniki z tych czasów, najdrobniejsze wreszcie szczegóły z życia Napoleona, są chętnie czytane i poszukiwane przez wydawców. Z setek pozbieranych wspomnień skomplikował bardzo zreczenie Fryderyk Masson książkę o kobietach, które grały większą, a choćby najmniejszą rolę w życiu geniusza wojny. Każdy przelotny stosunek, o ile o nim doszły wiadomości, został zapisany przez autora, zaczawszy od 18 roku życia, ukończonego ucznia szkoły wojskowej, aż do śmierci wygnanego na wyspie św. Heleny. Najłatwiej, rzecz prosta, było znaleźć materiał do charakterystyki stosunku z Józefiną. Wice-krabina, przyozdobiona później koroną cesarską, wychodzi z pod pióra autora bardzo niekorzystnie, jako kobieta przewrotna, bez serca, rozrzućna, zdradzająca człowieka, któremu wszystko była winna. Za to Napoleon, jako mąż jej i kochanek powinien pozyskać sympatję całej płci pięknej. Inną może miłością kochał Napoleon drugą swą żonę Marię-Ludwikę, ale zawsze była to miłość bardzo szlachetna, bo ciągnęła się prawie do grobu, pomimo, iż Marija-Ludwika łatwo z wysokości tronu spłynęła w objęcia Neipperga. Miłością można jeszcze nazwać stosunek Napoleona z Walewską, której sylweta, nadzwyczaj wdzięczna i sympatyczna, zajmuje w książce po obu cesarskich najwybitniejsze miejsce. Po za tem pozostają same miłostki z damami z arystokracji, aktorkami, lektorkami i t. p. Są one przeważnie kilkotygodniowe lub kilkumiesięczne i nie zostawiają żadnych śladów po sobie. Dowodzą tylko, iż Napoleon umiał być hojnym nawet dla tych, które chwilowo cieszyły się jego względami. Niektóre z nich odplatały mu wdzięcznością, były jednak takie, co go wyzyskały, przechodziły do obozu jego nieprzyjaciół. Książka czyta się przyjemnie, choć zaspakaja jedynie ciekawość... niezbyt ciekawą. Tłumaczenie słabe; korekta nieszczególna.

KRONIKA NAUKOWA I LITERACKA.

— **Odkrycie.** Naczelnik archiwum warszawskiej Izby skarbowej, p. Bielaszewski, zajmując się klasyfikacją różnych papierów, znalazł, pomiędzy innymi dokumentami, wielce interesujący opis Kijowa z połowy XVII w. Opis ten sporządzonym jest nader szczegółowo i może mieć wielkie znaczenie naukowe; oprócz tego, znalazły się tam i inne cenne dokumenty, a w ich liczbie nawet sięgające XIV wieku. P. Bielaszewski zamierza podobno wydać szczegółowy ich opis.

— Wydział krajowy przyznał 500 złr. nagrody, z fundacji Kochmana, prof. Piotrowi Chmielowskiemu, za napisane przez niego dwie znakomite monografie Mickiewicza i Kraszewskiego, i Tadeuszowi Korzonowi 1,000 złr.

— D-rowsi Mlecznikowowi w Paryżu, uczniowi Pasteura, udało się wynaleźć nową metodę leczenia febrы flegmistey (*fièvre muqueuse*), za pomocą rozcieńzonego jadu cholerycznego.

Upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty za IV kwart. dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma.

Z TYGODNIA.

Petersburg, 29 września.

Na dalekim Wschodzie toczy się wielka wojna, a wszystkie płynące z tamąd wieści mówią jednoznacznie o stanowczej dotychczas przewadze oręża japońskiego nad chińskim, na lądzie i na morzu. Mimowoli przychodzi nam na myśl pewne porównanie, pewna analogja. Wydaje nam się, jakby te zapasy między Chinami i Japonją przypominały wojnę, z przed laty z górą dwudziestu, między... Francją i Niemcami. Takie porównanie nikomu nie ubliża. Terminy „azjatycki“, „europejski“, straciły już dziś dawne znaczenie. Współczesna Japonja urządzona dziś jest zupełnie na sposób zachodnio-europejski, i dziś właśnie składa egzamin dojrzałości z tej europejskiej nauki, jak widzimy, z powodzeniem, Chiny zaś reprezentują najstarszą może, lubo spróchniałą cywilizację, bez żadnej lub prawie żadnej przymieszki kultury zachodniej.

W chwili rozpoczęcia wojny rozpowszechnionem było zdanie, że wielkie i sławne Chiny zgniotą odrazu dziesięćkroć mniejszą i uczęszczającą dopiero do szkoły Japonję, mimo wszystkich postępów, jakie w ostatnich czasach państwo Mikadów zrobiło. Tak samo prawie niewątpiono ongi w Europie o zwycięztwie Francji... I jeszcze przyjdzie może czas, kiedy zaczną mówić o zwycięztwie szkolnego bakałarza japońskiego...

A i w pierwszych chwilach starć wojennych, cóż widzimy? Armję chińską, dowodzoną przez głośnych i sławnych w swej ojczyźnie jenerałów, źle uzbrojoną, gorzej jeszcze prowadzoną, cierpiącą na brak wszystkiego, otoczoną wreszcie ze wszech stron w Pjang-Yangu i wziętą w czambuł do niewoli, jakby w drugim Sedanie! Armja natomiast japońska dała świetny dowód wojennej gotowości i strategicznych uzdolnień. Przekroczywszy granice Mandżurji idzie teraz, podług planów Moltke-Yamagaty, ku „świętemu“ Mukdenowi, jakby ku Paryżowi, i idzie zapewne po nowe laury i po miljardy, złożone w skarbcu cesarzy chińskich. Zwycięztwa przytem na lądzie, w tej dalekiej kampanji, szły w parze z morskimi. Japonja w wielkiej bitwie morskiej na morzu Żółtem pokonała flotę chińską i zatopiła cztery jej wielkie pancerniki. Tu analogja urywa się, Niemcy bowiem, czasu owych zapasów z Francją, nie miały jeszcze floty...

Zobaczmy teraz, jaki może być przypuszczalny dalszy przebieg kam-

panji. Japończycy zająć mogą nie tylko Mukden, lecz i Pekin, poczem wycofają się, wyniosłszy z Chin miliardową kontrybucję wojenną i zatrzymawszy Koreę, jakby chińską Alzację-Lotaryngję. I cóż dalej? Zwycięztwo Japonji będzie przede wszystkim, na tym Wschodzie dalekim, zwycięztwem europejskiej kultury i europejskiej ruchliwości nad zastojem wschodnim. Chinom pogrom ten przynieść może wiele dobrego, jak przyniósł Francji 1870 roku. Przede wszystkim wyleczy je z zarozumiałości, że są najpierwszym i najpotężniejszym narodem na świecie i stanie się punktem wyjścia wielkiego wewnętrznego przewrotu.

Przechodząc do szczegółów, widzimy, że klęska grozi w pierwszej linii panującej obecnie w Chinach dynastji. Nie wszyscy może pamiętają o tem, że w połowie siedemnastego wieku Chiny zostały podbite przez garść wojowniczych mandżurów, tatarskiego pochodzenia. Podbój ten trwa do dnia dzisiejszego. W państwie Niebieskiem nie tylko dynastja jest mandżurską, lecz mandżurską jest również gwardja cesarska w armji chińskiej, mandżurskimi wyżsi dowódcy wojskowi i wybitniejsi mandaryni cywilni... W każdym większem mieście chińskim znajduje się cytadela, obsadzona przez mandżurów i utrzymująca ludność miejscową w posłuszeństwie... Przeciwno tej supremacji mandżurskiej występowało już niejednokrotnie „narodowe“ stronnictwo chińskie, a przegrana obecna może być hasłem do ogólnego powstania.

Wszystko są to zresztą tylko przypuszczenia. Porażka 1871 roku była grobem dla dynastji Napoleonidów we Francji. Mogło być jednak inaczej, a i w Chinach może być inaczej. Wszystko zależy od tego, kto, po pogromie, lub jeszcze w czasie walki obecnej, weźmie na siebie inicjatywę wewnętrznego odrodzenia i kto siły znajdzie po temu. Gdyby nikt tych sił nie okazał, Chiny stałyby się pastwą wewnętrznego anarchji i weszły w stan rozkładu.

Leży przed nami „Sprawozdanie dwunaste z czynności komitetu, zarządzającego kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia d-ra medycyny Józefa Mianowskiego za r. 1893“. Komitet kasy składa się z 12 członków, pod prezydencją prof. Ant. Okólskiego; godność wice-prezesa piastuje p. Piotr Chmielowski, obowiązki sekretarza pełni p. Stan. Libicki, kasjera—Karol Deike. Kasa liczyła w r. 1893: członków założycieli 83, członków honorowych 123 i członków rzeczywistych 641. Ogół funduszków kasy wynosi obecnie 240 tys. rubli z górą, w tem jest 9,250 rubli kapitału zasobowego, 48,722 ruble kapitału obrotowego, resztę stanowią zapisy

(było ich dotychczas 15), oraz procenty od nich. W roku sprawozdawczym pożyczek bezzwrotnych udzielono 30 osobom w sumie 11,155 rs.; jako zapomóg do zwrotu ze sprzedaży wydawnictw dano 7 osobom 3,311 rubli; pożyczek zwrotnych otrzymało 5 osób 1,550 rubli; razem więc pożyczki i zapomogi kasy w r. 1893 wynosiły pokaźną sumę: szesnaście tysięcy rubli.

Kasa, zwana popularnie „kasą Mianowskiego“, niewątpliwie należy u nas do instytucyj funkcjonujących najpoprawniej. Komitet kasy stoi po nad zarzutami, o jakiegokolwiek grzechy główne instytucyj tego rodzaju. Nawet zuchwałstwo oszczercy nie śmiałoby zarzucić mu nie tylko prywaty, ale nawet jakiejś stronnictwośći. Pieniądze idą według przeznaczenia na pomoc naukową. Nie są popierane żadne doktryny; nie prowadzi się żadna propaganda; nikt i nic, oprócz zasług i pracą zdobytych praw, nie ma wobec komitetu pierwszeństwa, nikt nie może korzystać ze stosunków, żadnej roli nie gra stan, płeć, wyznanie. To jest już bardzo wiele. Pod takim kierownictwem kasa istnieje i działa lat dwanaście. Czas wielki zapytać, czy ziściła ona zamiary inicjatorów i założycieli, t. j. czy podniosła i ożywiła umysłowość w kraju?

Odpowiedzieć jednym krótkim *nie* lub *tak* niepodobna. Jest rzeczą oczywistą, iż kasa, pozostając w ręku obywateli światłych, sumiennych, zasłużonych, wreszcie ożywionych najlepszymi chęciami, musiała w ciągu lat 12 przynieść pewien pożytek. Czy dała atoli maksimum tego, co przy danych okolicznościach dać mogła? Dzięki pomocy kasy Mianowskiego, urzeczywistnia się myśl profesora Marjana Baranieckiego (dziś pod kierunkiem p. Czajewicza) objęcia w szeregu podręczników całości kształtu matematyki—rzecz niewątpliwie pożyteczna. Z funduszków kasy wydawane są „Prace filologiczne“, otrzymuje zasiłki „Wisła“, „Pamiętnik Fizjograficzny“. W szeregu książek znajduje się pewna liczba istotnie potrzebnych, które może bez pomocy kasy Mianowskiego nie prędko by ujrzały światło dzienne. Ze sprawozdań przekonywamy się, że w kasie pomoc znajdowali ludzie istotnej zasługi, którzy niechybnie pomoc tę zwrócili społeczeństwu z lichwą.

Wszystko święta prawda. A jednak, jak często spotykamy ludzi, spokojnych i kompetentnych, którzy na pytania, wyżej postawione, odpowiadają przecząco. Kilka lat temu z paru naraz organów prasy spadły na kasę zarzuty, iż jest instytucją martwą, że przyswaja literaturze naszej albo rzeczy, któreby wydał każdy zwykły księgarz, albo jakieś odpadki nauki, że się nie rachuje z najpilniejszymi potrzebami naszej umysłowości, że nie ma żadnej inicjaty-

wy a działa całkiem bez planu i t. d. W ostatnich czasach zarzuty takie nie ukazywały się w druku, w prywatnych jednak rozmowach słyszeć je można dość często. Niestety, zarzutom tym pewnej dozy słuszności odmówić trudno. Należy tylko poznać, na czem słuszność ta polega i jak daleko sięga.

Przedewszystkiem kasa imienia Mianowskiego jest biurem—porządnie uorganizowanym, dobrze funkcjonującym, ale tylko biurem. To się znaczy: załatwia szybko i sumiennie wpływające do niej papiery wedle pewnej normy, wedle litery przepisów, ściągą i wypłaca pieniądze—robi to bez zarzutu, ale granicy tej nie przekracza wcale, albo przekracza bardzo mało.

Ktoś znający bliżej od nas historję posiedzeń komitetu, potrafi zapewne przytoczyć jakieś fakty, przeczące powyższemu twierdzeniu. Niepodobnieństwo, aby komitet, z takich ludzi złożony, a jeszcze bardziej pojedynczy jego członkowie, nie mieli jakichś pomysłów, nie zrobili czegoś z własnej inicjatywy. Ale z pewnością faktów takich wiele nie będzie, nie one tworzą tło i charakterystykę działalności kasy. Z tego atoli, cośmy powiedzieli, żaden zarzut dla komitetów kasy nie wynika w żadnym wypadku. Przyjęcie tytułu członka komitetu oznacza zobowiązanie do czuwania nad właściwem, zgodnem z ustawą szafowaniem grosza kasy, do bywania regularnego na posiedzeniach, do referowania o przedstawionych pracach. Kto to wykonywa — spełnia całkowicie swój obowiązek, nikt odeń więcej wymagać nie ma prawa, bo na to więcej może on nie mieć ani czasu ani środków, a może i odpowiedniego talentu.

Żadne ciało zbiorowe, wybrane czy mianowane, nie potrafi być niczem innym, jak tylko biurem, dopóki nie znajdzie się w niem jednostka, która zechce robić więcej niż przepisują obowiązki, która się stanie duszą tego ciała, ambicje swoje i pragnienia utożsamia z powodzeniem i użytecznością instytucji, a z jej zadania robi cel życia własnego. Tylko jednostka—nigdy komitet—może mieć myśl twórczą, energję, jasno wytknięty cel i śmiało nakreślony plan działania, tylko jednostka potrafi wytrwale dążyć do ich urzeczywistnienia. Gdzie jednostka taka jest, tam komitet staje się jej organem, stanowi pożyteczną kontrolę i balast.

Najmniejszej wątpliwości ulegać nie może, iż przy takim podniesieniu jednostki kasa popełniłaby nie jeden błąd, naraziłaby się nieraz na słuszne zarzuty, nieprzyjemności i kłopoty, czasem jakiś grosz zostałby źle użyty i marnieby przepadł, kiedy obecnie wszystko jest w porządku, wszystko odbywa się poprawnie, ale ostateczna suma owoców byłaby może większa.

Ze działalności kasy nie ożywiało i nie ożywia twórcze technienie indywidualnej myśli i woli, to nie grzech jej, to — nieszczęście. Ktoby z tego powodu rościł jakie pretensje do członków dotychczasowych komitetów, mógłby z równą słusznością winić ich, że nie są wirtuozami, lub że nie piszą arcydzieł dramatycznych. Gdyby koniecznie chcieć kogo winić, trzeba byłoby do odpowiedzialności pociągnąć społeczeństwo—ono nie wydaje jednostek dosyć ambitnych, obdarzonych energją i inicjatywą, a przytem dość niezależnych, aby się poświęcić takiej instytucji, całkowicie i bez podziału. Na takiego człowieka czeka kasa Mianowskiego.

«Koeln. Ztg», rozważając w artykule wstępnym stosunki pomiędzy Anglią a Francją, pisze: «Przez zamianowanie barona de Courcelle'a ambasadorem w Londynie, Francja dała do zrozumienia, że odtąd zamierza nieco ton podnieść. Zaostrzenie antagonizmu między temi mocarstwami byłoby smutnym faktem. Lubo mieszanie się w ich sprawy nie jest powołaniem Niemiec, wszelako oba te rządy nie mogą wątpić o tem, że Niemcy muszą dążyć do zachowania pokoju powszechnego. Ponieważ prawo pisane jest po stronie Francji, przeto Angliacy powinni ustąpić».

«Koeln. Ztg» zamieszcza długi artykuł p. t.: «Arystokracja polska a państwo pruskie», w którym autor, opierając się na mowie lwowskiej p. Józefa Kościelskiego i na jej komentarzu, zamieszczonym w «Neue Fr. Presse», stara się dowieść, że szlachta polska jest nielojalną i stanowi żywioł destrukcyjny, byłoby więc największym błędem i zbrodnią polityczną dopuścić szlachtę polską do takiego stanowiska w Prusach, jakie zajmuje w Austrii. Według gazety kolońskiej szlachta galicyjska «bawi się» w lojalność dla tronu tylko we własnym interesie i od parady i nadużywa swego wpływu na to, aby dla siebie ciągnąć zyski; gwałci ona na Ślązku i na Morawie «historyczne i przyrodzone prawa Niemców» (!), osłabia wogóle niemiecki charakter państwa—i wogóle «nigdzie nie można w Austrii widzieć Polaków, popierających na serjo pracę kulturalną». «Rząd pruski—kończy «Koeln. Ztg»—nigdy nie może oprzeć się na szlachcie polskiej, gdyż ona nie jest czynnikiem cywilizacyjnym i dlatego nigdy też «nie wyda na pastwę Polaków» W. Ks. poznańskiego, Prus zachodnich lub Ślązka, przez nadanie tym dzielnicom autonomji; spotka więc szlachtę polską, marzącą w Prusach o Galicji, nader przykry zawód». Od tych fałszów i oszczerstw rażąco odbija bezstronny głos niemiecki — głos «Leipziger Illustr. Ztg», która opisując wystawę, podnosi «ogromne i wielkie nadzieje, rokujące postępy Polaków w Galicji we wszystkich dziedzinach produkcyjnego i umysłowego życia» i kończy temi słowy: «Od ćwierć wieku wywierają Polacy najsilniejszy wpływ na publiczne sprawy Austrii i od lat 25 niema w Austrii wogóle mowy o jakiej większości parlamentarnej bez lub przeciw Polakom. Tak jak byli jądrem stronnictwa rządowego za czasów hr. Taaffe'go, tak są obecnie niezbędną częścią większości koalicyjnej, łącznikiem pomiędzy lewicą a prawicą».

Zjazd delegatów niemieckiego stronnictwa narodowo-liberalnego we Frankfurcie nad Menem uchwalił w sprawie polskiej, jak opiewają sprawozdania pism narodowo-liberalnych, następującą rezolucję: «W myśl zajmowanego zawsze przez stronnictwo stanowiska, wyrażamy z powodu narodowo-polskich usiłowań, które świeżo silnie

się zaakcentowały, przekonanie, że wspieranie naszych rodaków niemieckich we wschodnich prowincjach przeciw polonizmowi jest świętym obowiązkiem wszystkich patrijotycznych mężów w całych Niemczech. Spodziewamy się od rządu w rzeszy i w Prusach, że zaniecha wszystkiego, coby mogło powiększyć narodowo-polskie pretensje».

Węgierska izba magnatów roztrząsała 8 października projekt równouprawnienia religii żydowskiej z innymi wyznaniami w państwie. Niektórzy z mówców szczególnie powstawali przeciwko artykułowi projektu, pozwalającemu chrześcijanom przechodzić na judaizm. Ostatecznie projekt odrzucono większością 109 głosów przeciwko 103. Drugie to niepowodzenie ministerstwa Weckerlego, jak donoszą telegramy, wywołało w pewnych sferach wielkie niezadowolone. Rząd postanowił odrzucony w sobotę przez izbę magnatów projekt prawa o swobodzie wyznań religijnych, wnieść ponownie do izby deputowanych, a potem do izby magnatów.

Z Prus zachodnich donoszą, że naczelny prezes rejencji, p. Gossler, objeżdża prowincję i ogląda majątki, któreby od Niemców nabyć mogła komisja kolonizacyjna. Zakupno dóbr niemieckich z funduszu tej komisji uspokoi może tych, którzy agitowali przeciwko rządowi. Dotąd wyrzucano mu, że ta «dojna krowa» istnieje tylko dla zbankrutowanych Polaków.

W dniu 9 b. m. odbędzie się w Nowym Sączu walne zgromadzenie Towarzystwa «Związek Chłopski», którego przewodniczącym jest poseł Potoczek. Zgromadzenie to będzie o tyle interesujące, że rozegra się na niem walka między ks. Stojalowskim a p. Potoczkiem, który nie chcąc się oddać kierownictwu pierwszego, nowe pismo ludowe jako organ związku założył, a pisma ks. Stojalowskiego «Więca» i «Pszczółkę» usunął. Bardzo możliwym jest rozbięcie się tego stowarzyszenia.

Telegram z Wiednia donosi: «Deputowany młodoczeski, nazwiskiem Czarnogórski, pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej za to, że w pewnej restauracji kazał wykonać ruski hymn narodowy, a następnie wygłosił mowę. W mowie Czarnogórskiego policja upatrzyła wezwanie do powstania».

Z Wiednia donoszą, że układy Garaszina z królową serbską Natalją, w przedmiocie porozumienia się z królem Milanem, zostały zerwane. Królowa stanowczo sprzyjać zaczęła stronnictwu radykalnemu.

Podług wiadomości z Berlina, podczas pobytu cesarza Wilhelma w Rohmünden, przyjeżdżał tam ambasador niemiecki w Petersburgu, generał Werder.

Depesza «Agencji północnej» podaje wiadomość, zamieszczoną w berlińskim «Tagblatt», że istnieje zamiar przejrzenia rozporządzenia ministerjalnego w kwestji wykładów w języku polskim.

Przegląd prasy.

«Russk. Żizń» porusza kwestję jawności rezultatów różnych rewizyj urzędowych.

«Postadamy»—pisze—do wszystkiego rewizorów i corocznie ma miejsce mnóstwo wszelkiego rodzaju rewizyj; jednakże nie możemy się pochlubić szczególnym porządkiem i nawet «Mosk. Wied.» uznają, że wiele nam brakuje do utrwalenia porządku, pomimo, że wogóle wszystko idzie pomyślnie».

Jawność jest nieodzownym warunkiem skutecznego funkcjonowania rewizorów i kontrolerów, a ten, jak się wyraża, «straszny wyraz», jest nie-

stji Obrenowiczów. Wielu radykalistów oświadczyło się już za tym projektem. Inicjatorowie reformy spodziewają się, iż do tej grupy przylączy się także byli członkowie gabinetu: Nikolicz, Milosawljewicz, Vuicz, Miloszewicz i jeneral Gruicz, chociaż ci dotychczas nie dali żadnego jeszcze oświadczenia. Jeśli się ta nadzieja ziściła, wówczas stanąłby na czele przekształconego stronnictwa Sawa Gruicz, a tacy demagodzy, jak Katicz, Rista Popowicz, Rotarac i inni utworzyliby osobne stronnictwo, które jednakże przy dzisiejszym usposobieniu ludności i obecnych stosunkach poparcia nigdzie nie znajdzie.

Rząd wogóle nie ma zaufania do stronnictwa radykalnego, a w szczególności prezydent gabinetu, dr. Nikolajewicz, jest stanowczym przeciwnikiem obu jego odcieni i dlatego jest rzeczą wątpliwą, czy stronnictwo to nawet po swem przekształceniu będzie grać wybitniejszą rolę. Natomiast od czasu przejścia liberałów do opozycji wrasta bardzo stronnictwo postępowców, protegowane przez rząd, a nawet i przez króla Aleksandra, podczas kiedy król Milan skłania się więcej ku liberałom, chociaż ci pozostają w ścisłych stosunkach z metropolitą Michałem. To dowodzi, że młody król posiada duży zapas samodzielności i choć chętnie korzysta z niektórych rad swego ojca, niemniej przeto posiada własne zdanie i często niem się powołuje. Król Aleksander odznacza się wysokim rozwojem umysłowym, zdumiewającą roztropnością i zmysłem praktycznym, z którego pomocą umie ocenić, co jest możliwym do urzeczywistnienia i co stanowi istotną potrzebę w danej chwili.

Miałem sposobność rozmawiania z prezydentem gabinetu, p. Nikolajewiczem. Jest to człowiek nadzwyczaj uprzejmy i ujmujący, wysoce wykształcony i elegancki. Obok tego zaś posiada żelazną energię i wytrwałość, tak, iż on jeden tylko mógł stanąć na czele rządu, mającego przywrócić porządek, naruszony przez działalność radykalistów.

O stosunkach wewnętrznych mówił prezydent gabinetu:

— Zaczęć od liberałów, a raczej t. zw. liberałów, gdyż noszą tę nazwę jak *lucus a non lucendo*, mianowicie z tego powodu chyba, że bynajmniej nie są liberalni; obecnie, jako bezwzględna opozycja, wystawili się w tak szkaradnym świetle, iż każdy uczciwy człowiek musi się od nich odwrócić z odrazą. W walce przeciwko rządowi nie gardzą żadnym środkiem i wyobrażają sobie, że eksploatują nawet bandy rozbójnicze dla swych celów politycznych. Tak np. rozsiewają w prasie zagranicznej przesadne wieści o liczbie rozbójników, o ich okrucieństwach, a nawet sami piszą do wybitniejszych członków swego stronnictwa, w imieniu znanych hersztów, listy z pogróżkami i ogłaszają je następnie w gazetach, osłabiając tym sposobem wiarę ludności w silę rządu. Szczególnie listy takie kursują często w Niszu i okolicy, gdzie właśnie król bawi. Otrzymują je wyłącznie tylko członkowie stronnictwa liberalnego, którzy doręczają je królowi, szukając obłudnie u niego obrony rzekomo zagrożonego życia i mienia, a potem trąbią na wsze światy strony: «Patrzcie, czegośmy się do czekali pod rządami Nikolajewicza!» Na szczęście król jest dobrze poinformowany o tych machinacjach. A dodać tu jeszcze trzeba, że walęsających się obecnie rozbójników wypuszczono cichaczem z więzienia, właśnie podczas terrorystycznej gospodarki liberałów.

Po małej przerwie dodał:

— Czyż podobna, aby kiedykolwiek takie stronnictwo mogło mieć udział w rządzie?

— A radykaliści?—zapytałem.

— Objąwszy kierownictwo rządu po przywróceniu konstytucji, uważałem za największy mój obowiązek radykalistów zwalczać i usuwać od wszelkiego udziału w polityce. Wszak stronnictwo to okazało

w tak rażący sposób swoją nieudolność, iż to, co ja wobec niego przedsięwziąłem, było tylko patrijotycznym obowiązkiem każdego serbskiego męża stanu. Dziś stronnictwo jest rozbite przez swoje własne niesnaski wewnętrzne i straciło kredyt u ludności. Na przyszłych wyborach do skupczyny zdobędą sobie najwyżej kilka mandatów poselskich.

— Zatem—wtrąciłem—postępowcy zyskają przewagę.

— Tak jest, a z mego stanowiska zniewolony jestem oświadczyć, iż jest to w danych stosunkach nawet pożądanem. Rząd użyje przy wyborach całego swego wpływu dla zwalczania kandydatów liberalnych, a, rozumie się, i radykalnych. Przyszłość należy do postępowców. W skupczynie będą oni mieli przewagę, przyczem atoli podnieść muszą, iż prawo konstytucyjne mianowania przez rząd 54 członków naszego ciała ustawodawczego, jest dostatecznym ubezpieczeniem neutralnego, a zatem rozumnego, silnego i korzystnego dla kraju zarządu.

O królu Aleksandrze wyraża się prezydent gabinetu nadzwyczaj pochlebnie, przypisując mu nawet «genjalność». Natomiast, jak długo Milan bawi w kraju, nie wróci z pewnością do Serbji. Radykaliści, którzy swego czasu formalnie wypędzili królowę z Belgradu, starają się usilnie o jej powrót, w mniemaniu, iż tym sposobem pozbędą się Milana, który im jest solą w oku.

Marjan Sz.

Z POLITYCZNEGO ŚWIATA.

[Stosunki anglo-francuzkie. Europa i Azja. Widmo panmongolizmu. Agitacje w Niemczech. Głosowanie powszechne w Belgji].

Jednoczesne niemal zwołanie rad ministerjalnych w Londynie i Paryżu, w związku z objawami niejkiej niechęci, którą zdawna okazywały sobie wzajem organy prasy francuzkiej i angielskiej, stało się powodem alarmujących pogłosek o naprężeniu stosunków pomiędzy W. Brytanią a jej sąsiadką na przeciwległym brzegu La-Manche'y. I cały potok długo powstrzymany narzekania na politykę chytrego Albionu lał się w ciągu dni kilku na szpaltach gazet paryzkich. Przypomniano, jak podstępnie odsunęła Anglja republikę francuzką od spraw egipskich i zagarnęła dolinę Nilu, jakie przeszkody stawiała i stawia szerzeniu się kolonizacji francuzkiej w Afryce zachodniej, jak chytrze przeciąga spór z Brazylią o granice Guyany, jak wreszcie w ostatnim zatargu ze Siamem królowa mórz popierała i popierać nie przestaje pretensyj tego państwa do doliny górnego Mekongu. Sprawa madagaskarska miała, według wspomnianych pogłosek, stać się jeszcze jednym z powodów do rozgoryczenia, które natężyło się do tego stopnia, że zagrażało się zdawało pokojowi. Wszystkie te pogłoski nie sprawdziły się, co prawda, odwołało wszakże z Londynu dotychczasowego ambasadora francuzkiego, p. Decrais, który, podobno, po angielsku nie mówi i odznacza się zupełną nieznaną obyczajów i stosunków angielskich, co uniemożliwiało mu odpowiednie sprawowanie obowiązków swego urzędu. Następcą p. Decrais zostaje baron de Courcel, posiadający liczne stosunki wśród arystokracji angielskiej i mile przez nią widziany. Naprawi on zapewne szkody, jakie mimowoli dypl-

macji francuzkiej poczynić mogło urzędowanie jego poprzednika. Zresztą szkody wielkiej nikt Francji nie wyrządził, narada zaś ministrów angielskich dotyczyła, jak zapewniają źródła półurzędowe, roli W. Brytanji w zatargu japońsko-chińskim i ochrony poddanych królowej Wiktorji, przebywających w państwie Niebieskiem.

Za Anglią w tym kierunku poszły już inne mocarstwa, powiększając swe flotyle, krążące na morzach chińskich, i załogi w posiadłościach pobliskich. Niemcy i Francja wysłały już na Wschód kilka statków wojennych, Rosja zgromadziła swe siły morskie we Władywostoku, najdalej wszakże poszła Anglja, nietylko powiększając liczbę swych statków we flocie wschodnio-azjatyckiej i zasilając oddziałami z Indyj załogę w Hong-Kongu, lecz przesuując nieco na Wschód całą swą potęgę marynarską, od Gibraltaru począwszy.

Zatarg chińsko-japoński dotyczy nietylko interesów handlowych Europy: ma on doniosłość o wiele większą. Na widownię dziejów ludzkości wstępuje nowa potęga, niosąc sztandar nowego ideału, wydając niesłyszane dotąd hasła. Ambicja zwycięskiej, odmlodzonej, pełnej sił i zdolności do kultury Japonji sięga znacznie dalej, niż możnaby przypuszczać w pierwszej chwili. Nie chodzi tu o zagarnięcie Korei lub innej części obszaru monarchji Niebieskiej: może to być chyba stacją w drodze do innego celu, do wyzwolenia rasy mongolskiej z dotychczasowego snu i odrętwienia. Jak młody książe w bajce, przybywa Japonja do zaczarowanego, w śnie zaklętym pogrążonego kraju i budzi senną księżniczkę — tę rasę mongolską, która od czasów Tamerlana znaku życia nie daje, lecz w której zapewne tkwi utajona moc tego życia. Wdali, po za pangermanizmem, panslawizmem i innymi ideałami politycznymi powstaje nad oceanem Spokojnym widmo panmongolizmu, osłaniając swym płaszczem setki milionów istot ludzkich. Nie dziw, że stara Europa przygląda się temu zjawisku z nieukrywaniem zaciekawieniem, że myśleć poczyna — może zapóźno — o zapobieżeniu fatalnym następstwom walki chińsko-japońskiej.

Zresztą skierować sił wszystkich na Wschód państwa europejskie nie mogą. Mają one u siebie w domu dość kłopotów, muszą tak lub inaczej rozstrzygnąć wiele wciąż powstających kwestyj pierwszorzędnej doniosłości, które wywołują walkę stronnictw politycznych i powodują sterowników naw państwowych do zbaczania i zwrotów często niespodziewanych, z kąd zapewne poszła gadka, iż w polityce droga prosta jest najdłuższą. Zwrotu nagłego tego rodzaju miałyby właśnie dokonać rząd niemiecki. Hasło dał cesarz Wilhelm w mowach swych toastowych, nawołujących żywo zachować do walki ze stronnictwami przewrotu, i do skupienia się w tym celu dokoła tronu. Działo się to w czasie wakacyjnych podróży monarchy, wówczas, gdy rozproszeni po kraju posłowie sejmowi i parlamentarni używali wywczasu letniego, kanclerz zaś rzeszy leczył się u wód, i ministrowie korzystali z urlopu. Co właściwie rozumieć należy przez nawoływania

RADA ZARZĄDZAJĄCA

Tow. Drogi Żelaznej

NADWIŚLAŃSKIEJ

ma zaszczyt podać do wiadomości pp. akcjonariuszów, że na zasadzie § 64 ustawy Towarzystwa i w myśl NAJWYŻEJ zatwierdzonych dnia 17 listopada 1889 r. przepisów o porządku zwoływania walnych zebrań akcjonariuszów Tow. dróg żelaznych, na jesiennych b. r. zwyczajnym i nadzwyczajnym walnych zgromadzeniach przedstawione będą do rozpoznania i decyzji pp. akcjonariuszów Nadwiślańskiej drogi żel. następujące przedmioty:

I. NA ZGROMADZENIU ZWYCZAJNEM:

- 1) Rozpatrzenie i zatwierdzenie przedstawionego przez Radę Zarządzającą budżetu dochodu i rozchodu eksploatacji Nadwiślańskiej drogi żel. na rok 1895,
- i 2) Wybór członków komisji rewizyjnej dla rewizji sprawozdania z eksploatacji tejże drogi za rok 1894.

II. NA ZGROMADZENIU NADZWYCZAJNEM:

- 1) Rozpatrzenie i decyzja w kwestjach: a) przeniesienia na zapasowy kapitał Towarzystwa rozchodów, potrzebnych na niektóre nowe roboty na drodze, b) uzyskania pożyczki rządowej na wypełnienie nowych robót i dostaw dla drogi,
- i 2) o zmianach w ustawie oszczędnościowo-pomocniczej kasy urzędników Towarzystwa Nadwiślańskiej drogi żel.

O dniu, wyznaczonym dla wyżej wspomnianych walnych zgromadzeń, nastąpi osobne ogłoszenie. (2519)

**RADA
BANKU HANDLOWEGO
W WARSZAWIE,**

zgodnie z §§ 52 i 53 Ustawy, ma zaszczyt zaprosić pp. akcjonariuszów na nadzwyczajne ogólne zebranie, mające się odbyć w Warszawie d. 31 października (12 listopada) r. b., o godz. 2 popołudniu, w domu własnym.

Do decyzji ogólnego zebrania przedstawiony będzie wniosek rady, celem upelnomocnienia tejże, zgodnie z § 2 Ustawy, do otwarcia oddziałów Banku.

Akcjonariusze, życzący uczestniczyć w zgromadzeniu, winni przedstawić akcje swoje nie później jak o godz. 3 popoł. dnia 24 października (5 listopada) r. b.:

- w Warszawie, w kasie Banku Handlowego,
- „ Petersburgu, „ Petersburskiego Oddziału Banku.
- „ Berlinie, „ Banku Kredytowego dla Środk. Niemiec.

Bilety wejściowe na zebranie ogólne będą wydawane od d. 28 października (9 listopada) r. b., w lokalu Banku w Warszawie. (2516)



CAPILLIFER,
NIEZAWODNY ŚRODEK,
wzmacniający cebulki włosowe i niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co doświadczył długol. praktyka. (268)

Ceny flakonów: 1 rs. 20 k., 2 i 3 rs.
Uwaga. Każdy flakon powinien być zaopatrzony na korku i denku jednakow. markami, portretem, № 1036 pozwol. urzędu lek. i podpis wynalazcy T. L. Grabowskiego.
Aleja Jerozolimska, № 76, m. 7.
Obstal. od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

STAN RACHUNKOW

Pet. Międzynarodow. Banku Handlowego

PO DZIEŃ 31 SIERPNIA 1894 ROKU.

	W Petersb.	W filji kij.	RAZEM.
STAN CZYNNY			
Rubli srebrem i kopiejek.			
Kasa (bil. Banku Pań. i dr. mon.)	1,212,479 85	459,124 55	1,671,604 40
Rachunki bieżące:			
W Banku Pań. i jego filjach	4,069,372 23	300,000 —	4,369,372 23
W pryw. instytuc. bank.:			
w wołż.-kamsk. han. banku	100 —	10,000 —	10,100 —
w kijowsk. banku przem.	— —	10,000 —	10,000 —
w ruskim b. dla handlu wewn.	— —	— —	— —
Skup weksli niemn. jak z 2 podp.	5,154,462 60	3,549,091 40	8,703,554 —
Skup wyl. pap. cen. i kup. bież.	35,608 71	— —	35,608 71
Pożyczki na zastaw:			
Poż. na zażądanie (on call):			
Pań. i przez rząd gwarantow. papierów cennych	3,908,172 —	936,700 —	18,563,538 24
Udział., akc., obl. i listów zast. przez rząd niegwarantowan.	10,607,293 59	3,111,372 65	
Pożyczki terminowe:			
Państw. i przez rząd. por. pap. publ.	26,870 —	695 —	538,390 —
Udz. akc., obl. i list. z. p. rz. niepor.	502,325 —	8,500 —	
Należ. do banku asygn. górnoz. z. złoto i srebro w sztab., drobna moneta	77,519 64	421 06	77,940 70
Pap. publ., należ. do Banku: Państwowe i przez rząd gwar.	4,884,356 48	28,317 89	7,043,381 25
Udziały, akcje, oblig. i listy zast. przez rząd niegwarant.	1,785,254 09	345,452 79	
Należące do Banku traty i weksle na domy zagraniczne	871,655 24	— —	871,655 24
Korespondenci banku: Na ich rachunkach (loro conti):			
Kredyty zabezpieczone:			
Papierami gwarantowanymi	6,799,229 48	35,025 45	19,764,401 89
„ niegwarantowanymi	4,858,844 57	831,400 80	
Towarami	— —	509,401 07	
Zobowiązaniami handlowymi	4,356,923 86	— —	
Kredyty blankowe	1,672,329 31	721,247 35	
Na rach. ban. (nostro conti):			
Sumy do dyspozycji banku	1,214,101 48	398,087 96	1,920,670 27
Weksle u korespondentów	171,489 10	107,041 73	
Rachunek zarządu z filją	1,455,360 05	— —	1,455,360 05
Weksle protestowane	3,200 —	— —	3,200 —
Pożyczki przedawnione	28,170 —	— —	28,170 —
Wyd. bież.	258,003 45	74,080 49	332,083 94
Wydatki do zwrotu	12,236 35	1,587 04	13,823 39
Posiadłości nieruch. w Petersb.	268,374 73	— —	390,857 77
„ „ w Kijowie	122,483 04	— —	
Sumy przechodzące	526,410 18	— —	526,410 18
	54,892,625 03	11,437,497 23	66,330,122 26
STAN BIERNY.			
Kapitał wpłacony Banku	13,000,000 —	— —	13,000,000 —
Kapitał rezerwowy	3,953,751 16	— —	3,953,751 16
Rachunek sum specj. do rozporządzenia akcjonariuszów	279,581 96	— —	279,581 96
Wkłady:			
Na rachunki bieżące	10,620,485 34	4,772,541 87	16,237,601 64
Bez terminu	232,347 35	107,500 —	
Terminowe	121,977 08	382,750 —	
Korespondenci:			
Na ich rachunkach (loro conti):			
Sumy do dyspozycji korespond.	24,501,886 51	2,528,505 53	28,169,339 55
Weksle w komis	583,106 79	555,840 72	
Na rachun. banku (nostro conti):			
Sumy należące do banku	591,727 33	1,425,147 81	2,016,875 14
Rachunek banku z filją	— —	1,455,360 05	1,455,320 05
Akceptowane traty	92,112 56	32,908 24	125,020 80
Niewypł. za akc. dywid. zarok 1884—93	59,598 15	— —	59,598 15
Proc. i kom.	856,050 80	175,824 26	1,031,875 06
Sumy przechodzące	— —	1,118 75	1,118 75
(2523)	54,892,625 03	11,437,497 23	66,330,122 26

Nowy epitet.

Wszystkie sporty miejscowe mają epitety I jeden tylko łyżwiarz pozostał, niestety! Nim przeto lód nastanie głosimy, alifsel łyżwiarze się nazywać winni... «posuwiści»... (Mucha).

APTEKA CENTRALNA HOMEOPATYCZNA,

Czysta 6 w Warszawie, Wyszedł z druku staraniem tejże apteki

Poradn. Domowy Homeopatyczny
d-ra K. MÜLLERA.

Tłumaczenie z ostatniego wydania niemieckiego. Nabyć można w aptece przy ulicy Czystej, 6, oraz w księgarni Gebethnera i Wolffa. (613-3-3)

COGNAC „IMPERIAL”

Fabryka w Warszawie, Ślizka № 35.

Analizowany przez tutejsze powagi lekarskie i zalecany jako zdrowy i wyborny napój. Lepszy niż zagraniczny, gdyż wyrób li tylko z wina bez domieszek, tańszy, gdyż nie obciążony wysokiem cłem i banderolą. Sprzedaż we wszyst. znacz. handlach w Królestwie i Cesarstwie, hurtowa—w kantorze fabrycznym. (469-26)

OGŁOSZENIA z WILNA.

KSIĘGARNIA W. MAKOWSKIEGO

w Wilnie

posiada wielki wybór książek i nut, pośredniczy w dostarczaniu książek i pism tak krajowych, jak zagranicznych. Katalogi dzieł dawnych na żądanie dostarcza. **Nowości** Papier listowy z widokami m. Wilna, 10 ark., k. 15. (2497-6-2)

Wielki wybór szkła, kryształów, porcelany, fajansu, lamp, wyrobów bronz. i z nakł. srebra,

TADEUSZA ODYŃCA

w Wilnie, ul. Wielka № 85.

Główny skład fabryk: J. Frągeta, J. Hordliczki, M. S. Kuzniecowa, J. Serkowski, «Baccarat» w Paryżu, «Polna» w Czechach. Serwis stol. i herb. Szyby. Ceny możliwie niskie. (1-2468-27)

Medal złoty 1893 r.

MAGAZYN MEBLI własne warszt. tapic.-dekor. i stol.-rzeźb., oraz fabr. skład obić papier. od 9 k. do 5 rs. za rolkę. Ceny stałe. K. SADOWSKIEGO w Wilnie. (410-52)

W Wilnie do sprzed. dom z ogrodem owoc., bud. nowe mur. i drewn. Ziemi wiecz.-czynsz. 837 kw. sążni, przyn. doch. 2,300 rs. Antokol 1552, ul. Szpitalna. (2-2469)

Młody człowiek zagranicznego uniwers., poszuk. kondycji na wyjazd. Wilno, ul. Zawalna, dom reform. synodu, u dentystki. (2496)

Trzeźwe pojmanie rzeczy.—Ach, pani, o tobie śnię w dzień i w nocy!
— Czy pan śpi także we dnie?
(Gross Wien).

LOKAL

na 1 piętrze, umeblowany, składający się z 6 pokoi, przedpokoju, łazienki i kuchni, z wszelk. wygodami gospod., jest do wynajęcia na przeciąg 3 do 5 miesięcy. Warszawa, ul. Św.-Krzyżka № 34, m. 1, u właściciela domu. (626-3-1)

Skończony wojażer. — Cóżeś robił zagranicą?
— Powiadam cioci, zrobiłem przepyszną podróż: jadłem ser w Szwajcarii, sardynki w Sardynji, pasztet w Strashburgu i kiełbaski w Wiedniu. (Kur. Świąt.)

Osoba,

wychowana we Francji, lat 35, z muzyką, niemieckim i nieco ruskim, znająca się na gospod. domowym, życzy zaopiekować się dziećmi i t. p.; rekom. wiarog. Wład.: Warszawa, Krak.-Przedmieście № 2, dom Lamewskiego, m. 23, u W-jej Magalskiej. Podróż na mój koszt. (628)

Zapracowany. — Panie panie! złodziej przyszedł!
— Nie mam czasu, niech przyjdzie innym razem... (Kolce).

PODOFICER DYMISJONOWANY fiński landzkiego pułku (pisarz) poszuk. miejsca; ma rekomendację. Adres: Was. Ostr., 11 linja 56—30, m. 20. Spyt. Bronisława Saulskiego. (2501-2)

Niniejszem zawiadamiam, iż

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ MOICH

Śrótowników „Excelsior”,

systemu Szmēja, o pojedynczej i podwójnej parze krążków, dla celów rolniczych, powierzyłem firmie

TAD. KOWALSKI I A. TRYLSKI,

w Warszawie, Miodowa, № 4,

i uprzejmie proszę, w razie łaskawych zapotrzebowań, zwracać się do tejże firmy.

Magdeburg—Buckau, w maju 1894 r.

FRIEDRICH KRUPP,

Grusonwerk.

Powołując się na powyższe ogłoszenie, polecamy uznane powszechnie za najlepsze ŚRÓTOWNIKI «Excelsior», systemu Szmēja, 6", 8", 10", oraz zapasowe krążki do nich, wyrobu fabryki «Fried. Krupp — Grusonwerk», po cenach przystępnych. (625-9-2)

Tad. Kowalski i A. Trylski,

Warszawa, Miodowa, № 4.

Cenniki i katalogi wysyłamy na żądanie.

Wyszedł z druku zeszyt X, ostatni

„Królestwa zwierząt”,

podług Brehma i innych najlepszych źródeł opracowane.

Duży tom, 973 str., z 340 ilustracjami. (2522-3-1)

Cena rs. 5, w ozd. oprawie rs. 6 k. 50. Cena samej okładki k. 80.

Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Nakładem księgarni i składu nut.

G. CENTNERSZWERA

w Warszawie, Marszałkowska 143,

WYSZŁY:

WERNIC H. Praktyczny przewodnik wychowania, cena rs. 2 k. 40, w ozdobnej oprawie rs. 3.

— Elementarz wiadomości pożytecznych, w 4-ce, z chromolitograf. ryćcinami, cena rs. 1.

— Elementarz ułatwiający naukę czytania, cena w oprawie k. 20.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. (621-2-2)

NOWOOTWORZONY

HOTEL VICTORIA I RESTAURACJA

Petersburg, Kazańska № 29.

75 pokoiów wykwintnie umeblowanych, od 1 do 5 rs. Restauracja wzorowa. Kapiele. Karety kolejowe. Telefon. Ceny umiarkowane. (2493-4-3)

Właściciel NEIFERT.

FABRYKA KWIATÓW

J. STRÓZEWSKIEJ i S. ZIEMSKIEJ

w Warszawie, ul. Długa 61.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

NOWOŚCI SEZONOWE. (594-12-7)



SOSNOWICKA

FABRYKA SZKŁA

dostarcza w ostatnich 15 lat. szyby do oszklenia wszystkich większych lepszych budowli. (507-48-25)

NASZE DZIECI. — A przy kim chcesz siedzieć na dzisiejszym baliku? ...
— Przy torcie, mamusiu. (Dzidzia).



По новой системѣ
КРАСИВО ПИСАТЬ
и двойной италянкой
Бугалтерии
выучиваю всякаго заочно (посредствомъ письменныхъ сношеній); за успѣхъ гарантія. Полное разъясн. и образцы высыл. за 3 марки по 7 к. По оконч. курса выдаю свидѣтельство. Москва, Покровка, А. С. Шиянскому. (2146-20-19)

NOWY TYTUŁ. — Czem się zajmuje wasz mąż?
— Jest zdziercą, proszę łaski pana.
— Cóż on robi?
— Zdziera stare adzde na rogach ulic i nakleja świeże. (Mucha).

Ostatecznie ulepszony, niezbędny w obecnym czasie przyrząd

„STERYLIZATOR”

do wody i mleka, jest do nabycia po rs. 8 w Instytucie szczepienia ospy d-ra T. Stepniiewskiego, Ziota 23. Broszurka franco. Adres na listy i telegramy: Warszawa, Instytut d-ra Stepniiewskiego. Szczegółowe ogłoszenie w № 29. (573-11-10)